ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Bruno Schulz

Sklepy cynamonowe

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Bruno Schulz

Sklepy cynamonowe

Warszawa 2012

Spis treści

Sierpień
- 1
- 2
- 3

Nawiedzenie
- 1
- 2

Ptaki

Manekiny

Traktat o manekinach albo Wtóra Księga Rodzaju

Traktat o manekinach. Ciąg dalszy

Traktat o manekinach. Dokończenie

Nemrod

Pan

Pan Karol

Sklepy cynamonowe

Ulica Krokodyli

Karakony

Wichura

Noc wielkiego sezonu

Metryczka książki

Sierpień

1

W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszołamiających dni letnich. Wertowaliśmy, odurzeni światłem, w tej wielkiej księdze wakacji, której wszystkie karty pałały od blasku i miały na dnie słodki do omdlenia miąższ złotych gruszek.

Adela wracała w świetliste poranki, jak Pomona z ognia dnia rozżagwionego, wysypując z koszyka barwną urodę słońca – lśniące, pełne wody pod przejrzystą skórką czereśnie, tajemnicze, czarne wiśnie, których woń przekraczała to, co ziszczało się w smaku; morele, w których miąższu złotym był rdzeń długich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyładowywała nabrzmiałe siłą i pożywnością płaty mięsa z klawiaturą żeber cielęcych, wodorosty jarzyn, niby zabite głowonogi i meduzy – surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nieuformowanym i jałowym, wegetatywne i telluryczne ingrediencje obiadu o zapachu dzikim i polnym.

Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzień na wskroś całe wielkie lato: cisza drgających słojów powietrznych, kwadraty blasku śniące żarliwy swój sen na podłodze; melodia katarynki, dobyta z najgłębszej złotej żyły dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzieś na fortepianie, wciąż na nowo, mdlejące w słońcu na białych trotuarach, zagubione w ogniu dnia głębokiego. Po sprzątaniu Adela zapuszczała cień na pokoje, zasuwając płócienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę głębiej, pokój napełniał się cieniem,

jakby pogrążony w światło głębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadłach, a cały upał dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny.

W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechodnie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalepione miodem, a podciągnięta górna warga odsłaniała im dziąsła i zęby. I wszyscy brodzący w tym dniu złocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę samą maskę – złotą maskę bractwa słonecznego; i wszyscy, którzy szli dziś ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejściu tą maską, namalowaną grubą, złotą farbą na twarzy, szczerzyli do siebie ten grymas bakchiczny – barbarzyńską maskę kultu pogańskiego.

Rynek był pusty i żółty od żaru, wymieciony z kurzu gorącymi wiatrami, jak biblijna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żółtego placu, kipiały nad nim jasnym listowiem, bukietami szlachetnie uczłonkowanych filigranów zielonych, jak drzewa na starych gobelinach. Zdawało się, że te drzewa afektują wicher, wzburzając teatralnie swe korony, ażeby w patetycznych przegięciach ukazać wytwomość wachlarzy listnych o srebrzystym podbrzuszu, jak futra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabawiały się refleksami wielkiej atmosfery, echami, wspomnieniami barw, rozproszonymi w głębi kolorowej pogody. Zdawało się, że całe generacje dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy, obijający stare fasady z pleśni tynku) obtłukiwały kłamliwą glazurę, wydobywając z dnia na dzień wyraźniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomię losu i życia, które formowało je od wewnątrz. Teraz okna, oślepione blaskiem pustego placu,

spały; balkony wyznawały niebu swą pustkę; otwarte sienie pachniały chłodem i winem.

Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomienną miotłą upału, oblegała kawałek muru, doświadczając go wciąż na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krążków odczytać można było prawdziwą tajemnicę muru, porysowanego hieroglifami rys i pęknięć. Zresztą rynek był pusty. Oczekiwało się, że przed tę sień sklepioną z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacyj osiołek Samarytanina, prowadzony za uzdę, a dwóch pachołków zwlecze troskliwie chorego męża z rozpalonego siodła, ażeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem piętro.

Tak wędrowaliśmy z matką przez dwie słoneczne strony rynku, wodząc nasze załamane cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach. Kwadraty bruku mijały powoli pod naszymi miękkimi i płaskimi krokami – jedne bladoróżowe jak skóra ludzka, inne złote i sine, wszystkie płaskie, ciepłe, aksamitne na słońcu, jak jakieś twarze słoneczne, zadeptane stopami aż do niepoznaki, do błogiej nicości.

Aż wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliśmy w cień apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowała chłód balsamów, którym każde cierpienie mogło się tam ukoić. I po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal decorum miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzimej, rozdziewa się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania do wsi, w obdartusa wiejskiego.

Przedmiejskie domki tonęły wraz z oknami, zapadnięte w bujnym i zagmatwanym kwitnieniu małych ogródków. Zapomniane przez wielki dzień, pleniły się bujnie i cicho wszelkie ziela, kwiaty

i chwasty, rade z tej pauzy, którą prześnić mogły za marginesem czasu, na rubieżach nieskończonego dnia. Ogromny słonecznik, wydźwignięty na potężnej łodydze i chory na elephantiasis, czekał w żółtej żałobie ostatnich, smutnych dni żywota, uginając się pod przerostem potwornej korpulencji. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe, niewybredne kwiatuszki stały bezradne w swych nakrochmalonych, różowych i białych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika.

2

Splątany gąszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków buzuje w ogniu popołudnia. Huczy rojowiskiem much popołudniowa drzemka ogrodu. Złote ściernisko krzyczy w słońcu, jak ruda szarańcza; w rzęsistym deszczu ognia wrzeszczą świerszcze; strąki nasion eksplodują cicho, jak koniki polne.

A ku parkanowi kożuch traw podnosi się wypukłym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obrócił się we śnie na drugą stronę i grube jego, chłopskie bary oddychają ciszą ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna, babska bujność sierpnia wyolbrzymiała w głuche zapadliska ogromnych łopuchów, rozpanoszyła się płatami włochatych blach listnych, wybujałymi ozorami mięsistej zieleni. Tam te wyłupiaste pałuby łopuchów wybałuszyły się jak babska szeroko rozsiadłe, na wpół pożarte przez własne oszalałe spódnice. Tam sprzedawał ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, śmierdzącą mydłem, grubą kaszę babek, dziką okowitę mięty i wszelką najgorszą tandetę sierpniową. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrosła się głupota zidiociałych chwastów, było śmietnisko zarosło dziko bodiakiem. Nikt nie wiedział, że tam właśnie odprawiał sierpień tego lata

swoją wielką pogańską orgię. Na tym śmietnisku, oparte o parkan i zarośnięte dzikim bzem, stało łóżko skretyniałej dziewczyny Tłui. Tak nazywaliśmy ją wszyscy. Na kupie śmieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stało zielono pomalowane łóżko, podparte zamiast brakującej nogi dwiema starymi cegłami.

Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczałe od żaru, cięte błyskawicami lśniących much końskich, rozwścieczonych słońcem, trzeszczało jak od niewidzianych grzechotek, podniecając do szału.

Tłuja siedzi przykucnięta wśród żółtej pościeli i szmat. Wielka jej głowa jeży się wiechciem czarnych włosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas płaczu składa tę harmonię w tysiąc poprzecznych fałd, a zdziwienie rozciąga ją z powrotem, wygładza fałdy, odsłania szparki drobnych oczu i wilgotne dziąsła z żółtymi zębami pod ryjowatą, mięsistą wargą. Mijają godziny pełne żaru i nudy, podczas których Tłuja gaworzy półgłosem, drzemie, zrzędzi z cicha i chrząka. Muchy obsiadają nieruchomą gęstym rojem. Ale z nagła ta cała kupa brudnych gałganów, szmat i strzępów zaczyna poruszać się, jakby ożywiona chrobotem lęgnących się w niej szczurów. Muchy budzą się spłoszone i podnoszą wielkim, huczącym rojem, pełnym wściekłego bzykania, błysków i migotań. I podczas gdy gałgany zsypują się na ziemię i rozbiegają po śmietnisku jak spłoszone szczury, wygrzebuje się z nich, odwija zwolna jądro, wyłuszcza się rdzeń śmietniska: na wpół naga i ciemna kretynka dźwiga się powoli i staje, podobna do bożka pogańskiego, na krótkich dziecinnych nóżkach, a z napęczniałej napływem złości szyi, z poczerwieniałej, ciemniejącej od gniewu twarzy, na której jak malowidła barbarzyńskie wykwitają arabeski nabrzmiałych żył, wyrywa się wrzask zwierzęcy, wrzask chrapliwy, dobyty ze wszystkich bronchij i piszczałek tej półzwierzęcej-półboskiej piersi. Bodiaki, spalone

słońcem, krzyczą, łopuchy puchną i pysznią się bezwstydnym mięsem, chwasty ślinią się błyszczącym jadem, a kretynka, ochrypła od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza mięsistym łonem z wściekłą zapalczywością w pień bzu dzikiego, który skrzypi cicho pod natarczywością tej rozpustnej chuci, zaklinany całym tym nędzarskim chórem do wynaturzonej, pogańskiej płodności.

Matka Tłui wynajmuje się gospodyniom do szorowania podłóg. Jest to mała, żółta jak szafran kobieta i szafranem zaprawia też podłogi, jodłowe stoły, ławy i szlabany, które w izbach ubogich ludzi zmywa. Raz zaprowadziła mnie Adela do domu tej starej Maryśki. Była wczesna poranna godzina, weszliśmy do małej izby niebiesko bielonej, z ubitą polepą glinianą na podłodze, na której leżało wczesne słońce, jaskrawożółte w tej ciszy porannej, odmierzanej przeraźliwym szczękiem chłopskiego zegara na ścianie. W skrzyni na słomie leżała głupia Maryśka, blada jak opłatek i cicha jak rękawiczka, z której wysunęła się dłoń. I jakby korzystając z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, zła cisza, monologowała, kłóciła się, wygadywała głośno i ordynarnie swój maniacki monolog. Czas Maryśki – czas więziony w jej duszy, wystąpił z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas przez izbę, hałaśliwy, huczący, piekielny, rosnący w jaskrawym milczeniu poranka z głośnego młyna-zegara, jak zła mąka, sypka mąka, głupia mąka wariatów.

3

W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami brązowej barwy, tonącym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodząc do niej, mijaliśmy w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwiące na tyczkach, różowe, zielone i fioletowe, w których zaklęte

były całe świetlane i jasne światy, jak te idealne i szczęśliwe obrazy zamknięte w niedościgłej doskonałości baniek mydlanych.

W półciemnej sieni ze starymi oleodrukami, pożartymi przez pleśń i oślepłymi od starości, odnajdowaliśmy znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alembik rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegalnie w codziennym mijaniu ich własnego, odrębnego czasu. Stare, mądre drzwi, których ciemne westchnienia wpuszczały i wypuszczały tych ludzi, milczący świadkowie wchodzenia i wychodzenia matki, córek i synów – otworzyły się bezgłośnie jak odrzwia szafy i weszliśmy w ich życie. Siedzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się – w pierwszych niezręcznych gestach wydalinam swoją tajemnicę. Czyż nie byliśmy krwią i losem spokrewnieni z nimi?

Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tutaj jeszcze mosiądzem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zieleń ogrodu. Spod ściany podniosła się ciotka Agata, wielka i bujna, o mięsie okrągłym i białym, centkowanym rudą rdzą piegów. Przysiedliśmy się do nich, jakby na brzeg ich losu, zawstydzeni trochę tą bezbronnością, z jaką wydali się nam bez zastrzeżeń, i piliśmy wodę z sokiem różanym, napój przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą esencję tej upalnej soboty.

Ciotka narzekała. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego mięsa białego i płodnego, bujającego już jakby poza granicami osoby, zaledwie luźnie utrzymywanej w skupieniu, w więzach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej rozpaść się, rozgałęzić, rozsypać

w rodzinę. Była to płodność niemal samoródcza, kobiecość pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała.

Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworództwa. I właściwie wszystkie jej skargi na męża, na służbę, jej troski o dzieci były tylko kapryszeniem i dąsaniem się niezaspokojonej płodności, dalszym ciągiem tej opryskliwej, gniewnej i płaczliwej kokieterii, którą nadaremnie doświadczała męża. Wuj Marek, mały, zgarbiony, o twarzy wyjałowionej z płci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tlił się daleki żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował słabym ruchem robić jakieś zastrzeżenia, stawiać opór, ale fala samowystarczalnej kobiecości odrzucała na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo niego, zalewała szerokim swym strumieniem słabe podrygi męskości.

Było coś tragicznego w tej płodności niechlujnej i nieumiarkowanej, była nędza kreatury walczącej na granicy nicości i śmierci, był jakiś heroizm kobiecości triumfującej urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencją mężczyzny. Ale potomstwo ukazywało rację tej paniki macierzyńskiej, tego szału rodzenia, który wyczerpywał się w płodach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów bez krwi i twarzy.

Weszła Łucja, średnia, z głową nazbyt rozkwitłą i dojrzałą na dziecięcym i pulchnym ciele o mięsie białym i delikatnym. Podała mi rączkę lalkowatą, jakby dopiero pączkującą, i zakwitła od razu całą twarzą, jak piwonia przelewająca się pełnią różową. Nieszczęśliwa z powodu swych rumieńców, które bezwstydnie

mówiły o sekretach menstruacji, przymykała oczy i płoniła się jeszcze bardziej pod dotknięciem najobojętniejszego pytania, gdyż każde zawierało tajną aluzję do jej nadwrażliwego panieństwa.

Emil, najstarszy z kuzynów, z jasnoblond wąsem, z twarzą, z której życie zmyło jakby wszelki wyraz, spacerował tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach fałdzistych spodni.

Jego strój elegancki i drogocenny nosił piętno egzotycznych krajów, z których powrócił. Jego twarz, zwiędła i zmętniała, zdawała się z dnia na dzień zapominać o sobie, stawać się białą pustą ścianą z bladą siecią żyłek, w których jak linie na zatartej mapie plątały się gasnące wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego życia. Był mistrzem sztuk karcianych, palił długie, szlachetne fajki i pachniał dziwnie zapachem dalekich krajów. Z wzrokiem wędrującym po dawnych wspomnieniach opowiadał dziwne anegdoty, które w pewnym punkcie urywały się nagle, rozprzęgały i rozwiewały w nicość.

Wodziłem za nim tęsknym wzrokiem, pragnąc, by zwrócił na mnie uwagę i wybawił mnie z udręki nudów. I w samej rzeczy zdawało mi się, że mrugnął na mnie oczyma, wychodząc do drugiego pokoju. Podążyłem za nim. Siedział nisko na małej kozetce, z kolanami krzyżującymi się niemal na wysokości głowy, łysej jak kula bilardowa. Zdawało się, że to ubranie samo leży, fałdziste, zmięte, przerzucone przez fotel. Twarz jego była jak tchnienie twarzy – smuga, którą nieznany przechodzień zostawił w powietrzu. Trzymał w bladych, emaliowanych błękitnie dłoniach portfel, w którym coś oglądał.

Z mgły twarzy wyłoniło się z trudem wypukłe bielmo bladego oka, wabiąc mnie figlarnym mruganiem. Czułem doń nieprzepartą sympatię. Wziął mnie między kolana i tasując przed mymi oczyma wprawnymi dłońmi fotografie, pokazywał wizerunki nagich kobiet

i chłopców w dziwnych pozycjach. Stałem oparty o niego bokiem i patrzyłem na te delikatne ciała ludzkie dalekimi, niewidzącymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmętniało powietrze, doszedł do mnie i zbiegł mię dreszczem niepokoju, falą nagłego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgiełka uśmiechu, która się zarysowała pod miękkim i pięknym jego wąsem, zawiązek pożądania, który napiął się na jego skroniach pulsującą żyłą, natężenie trzymające przez chwilę jego rysy w skupieniu – upadły z powrotem w nicość i twarz odeszła w nieobecność, zapomniała o sobie, rozwiała się.

Nawiedzenie

1

Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chroniczną szarość zmierzchu, porastało na krawędziach liszajem cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza.

Ledwo rozpowity z brunatnych dymów i mgieł poranka – przechylał się dzień od razu w niskie bursztynowe popołudnie, stawał się przez chwilę przezroczysty i złoty jak ciemne piwo, ażeby potem zejść pod wielokrotnie rozczłonkowane, fantastyczne sklepienia kolorowych i rozległych nocy.

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach, które tak trudno od siebie odróżnić.

Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż wszedłszy raz w niewłaściwą sień na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w prawdziwy labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świcie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny.

Pełne wielkich szaf, głębokich kanap, bladych luster i tandetnych palm sztucznych mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieszałości matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonogiej Adeli, która nienadzorowana przez nikogo, spędzała dnie przed lustrami na rozwlekłej toalecie,

zostawiając wszędzie ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebieni, porzuconych pantofelków i gorsetów.

Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokojów, gdyż nie pamiętano, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem którąś z tych izb zapomnianych i znajdowano ją pustą; lokator dawno się wyprowadził, a w nietkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć.

W dolnych pokojach mieszkali subiekci i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. W zimie była jeszcze na dworze głucha noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokojów, płosząc przed sobą świecą stada cieni, ulatujących bokami po podłodze i ścianach; szedł budzić ciężko chrapiących z twardego jak kamień snu.

W świetle pozostawionej przezeń świecy wywijali się leniwie z brudnej pościeli, wystawiali, siadając na łóżkach, bose i brzydkie nogi i z skarpetką w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania – ziewania przeciągniętego aż do lubieżności, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tęgich wymiotach.

W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego płonąca świeca i który nie odłączał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych płaskich, bezgłowych kadłubów z nagła zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem.

W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dnie całe w łóżku, otoczony flaszkami, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru. Gorzki zapach choroby osiadał na dnie pokoju, którego tapety gęstwiały ciemniejszym splotem arabesek.

Wieczorami, gdy matka przychodziła ze sklepu, bywał podniecony i skłonny do sprzeczek, zarzucał jej niedokładności w prowadzeniu rachunków, dostawał wypieków i zapalał się do niepoczytalności. Pamiętam, iż raz, obudziwszy się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegał tam i z powrotem po skórzanej kanapie, dokumentując w ten sposób swą irytację przed bezradną matką.

W inne dni bywał spokojny i skupiony i pogrążał się zupełnie w swych księgach, zabłąkany głęboko w labiryntach zawiłych obliczeń.

Widzę go w świetle kopcącej lampy, przykucniętego wśród poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłowiem łóżka, z ogromnym cieniem od głowy na ścianie, kiwającego się w bezgłośnej medytacji.

Chwilami wynurzał głowę z tych rachunków, jakby dla zaczerpnięcia tchu, otwierał usta, mlaskał z niesmakiem językiem, który był suchy i gorzki, i rozglądał się bezradnie, jakby czegoś szukając.

Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z łóżka w kąt pokoju, pod ścianę, na której wisiał zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioli szklanej, podzielonej na uncje i napełnionej ciemnym fluidem. Mój ojciec łączył się z tym instrumentem długą kiszką gumową, jakby krętą, bolesną pępowiną, i tak połączony z żałosnym przyrządem – nieruchomiał w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zaś na twarz przybladłą występował wyraz cierpienia czy jakiejś występnej rozkoszy.

Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stołowej, wśród poduszek wielkiego łoża, a pokój ogromniał górą w cieniu umbry, który go łączył z wielkim żywiołem nocy miejskiej

za oknem – czuł, nie patrząc, że przestrzeń obrasta go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szeptów, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, tę zmowę pełną porozumiewawczych mrugnięć perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małżowin usznych, które słuchały, i ciemnych ust, które się uśmiechały.

Wówczas pogrążał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walcząc z pokusą, żeby z nagłym krzykiem nie rzucić się na oślep za siebie i nie pochwycić pełnych garści tych kędzierzawych arabesek, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroiła ze siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajaczając coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajał się dopiero, gdy z odpływem nocy tapety więdły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przerzedzały się jesiennie, przepuszczając dalekie świtanie.

Wtedy wśród świergotu tapetowych ptaków, w żółtym zimowym świcie zasypiał na parę godzin gęstym, czarnym snem.

Od dni, od tygodni, gdy zdawał się być pogrążonym w zawiłych konto-korrentach – myśl jego zapuszczała się tajnie w labirynty własnych wnętrzności. Wstrzymywał oddech i nasłuchiwał. I gdy wzrok jego wracał zbielały i mętny z tamtych głębin, uspokajał go uśmiechem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które nań napierały.

Za dnia były to jakby rozumowania i perswazje, długie, monotonne rozważania prowadzone półgłosem i pełne humorystycznych interiudiów, filuternych przekomarzań. Ale nocą podnosiły się te głosy namiętniej. Żądanie wracało coraz wyraźniej i doniosłej i słyszeliśmy, jak rozmawiał z Bogiem, prosząc się jak gdyby i wzbraniając przed czymś, co natarczywie żądało i domagało się.

Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźnie i nieodparcie, żądając, aby mu dał świadectwo usty i wnętrznościami swymi. I usłyszeliśmy, jak duch weń wstąpił, jak podnosi się z łóżka, długi i rosnący gniewem proroczym, dławiąc się hałaśliwymi słowy, które wyrzucał jak mitralieza. Słyszeliśmy łomot walki i jęk ojca, jęk tytana ze złamanym biodrem, który jeszcze urąga.

Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczonego szeroko na ogromnym porcelanowym urynale, zakrytego wichrem ramion, chmurą rozpaczliwych łamańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się głos jego, obcy i twardy – zrozumiałem gniew boży świętych mężów.

Był to dialog groźny jak mowa piorunów. Łamańce rak jego rozrywały niebo na sztuki, a w szczelinach ukazywała się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i plująca przekleństwa. Nie patrząc widziałem go, groźnego Demiurga, jak leżąc na ciemnościach jak na Synaju, wsparłszy potężne dłonie na karniszu firanek, przykładał ogromną twarz do górnych szyb okna, na których płaszczył się potwornie mięsisty nos jego.

Słyszałem jego głos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, słyszałem te potężne warknięcia wzdętych warg, od których szyby brzęczały, mieszające się z wybuchami zaklęć, lamentów, gróźb mego ojca.

Czasami głosy przycichały i zżymały się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znowu wybuchały wielkim zgiełkliwym hałasem, burzą zmieszanych szlochów i przekleństw. Z nagła otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem i płachta ciemności wionęła przez pokój.

W świetle błyskawicy ujrzałem ojca mego w rozwianej bieliźnie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewał potężnym chlustem

w okno zawartość nocnika w noc szumiącą jak muszla.

2

Mój ojciec powoli zanikał, wiądł w oczach.

Przykucnięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kępami siwych włosów, rozmawiał z sobą półgłosem, pogrążony cały w jakieś zawiłe wewnętrzne afery. Zdawać się mogło, że osobowość jego rozpadła się na wiele pokłóconych i rozbieżnych jaźni, gdyż kłócił się ze sobą głośno, pertraktował usilnie i namiętnie, przekonywał i prosił, to znowu zdawał się przewodniczyć zgromadzeniu wielu interesantów, których usiłował z całym nakładem żarliwości i swady pogodzić. Ale za każdym razem te hałaśliwe zebrania, pełne gorących temperamentów, rozpryskiwały się przy końcu, wśród klątw, złorzeczeń i obelg.

Potem przyszedł okres jakiegoś uciszenia, ukojenia wewnętrznego, błogiej pogody ducha.

Znowu wielkie folianty rozłożone były na łóżku, na stole, na podłodze i jakiś benedyktyński spokój pracy zalegał w świetle lampy nad białą pościelą łóżka, nad pochyloną siwą głową mego ojca.

Ale gdy matka późnym wieczorem wracała ze sklepu, ojciec ożywiał się, przywoływał ją do siebie i z dumą pokazywał jej świetne, kolorowe odbijanki, którymi skrzętnie wylepił stronice księgi głównej.

Zauważyliśmy wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsycha się wewnątrz łupiny.

Zanikowi temu nie towarzyszył bynajmniej upadek sił. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwość zdawały się poprawiać.

Często śmiał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosił się wprost od śmiechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie „proszę” w różnych tonacjach, całymi godzinami. Od czasu do czasu złaził z łóżka, wspinał się na szafę i przykucnięty pod sufitem porządkował coś w starych gratach, pełnych rdzy i kurzu.

Niekiedy ustawiał sobie dwa krzesła naprzeciw siebie i wspierając się rękami o poręcze, bujał się nogami wstecz i naprzód, szukając rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachęty. Z Bogiem, zdaje się, pogodził się zupełnie. Niekiedy w nocy ukazywała się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, oblana ciemną purpurą bengalskiego światła, i patrzyła przez chwilę dobrotliwie na uśpionego głęboko, którego śpiewne chrapanie zdawało się wędrować daleko po nieznanych obszarach światów sennych.

Podczas długich, półciemnych popołudni tej późnej zimy ojciec mój zapadał od czasu do czasu na całe godziny w gęsto zastawione gratami zakamarki, szukając czegoś zawzięcie.

I nieraz bywało podczas obiadu, gdy zasiadaliśmy wszyscy do stołu, brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać „Jakubie!” i stukać łyżką w stół, zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami pajęczyny i kurzu, z wzrokiem nieprzytomnym i pogrążonym w zawiłych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzątały.

Czasem wdrapywał się na karnisz i przybierał nieruchomą pozę symetrycznie do wielkiego wypchanego sępa, który po drugiej stronie okna zawieszony był na ścianie. W tej nieruchomej, przykucniętej pozie, z wzrokiem zamglonym i z miną chytrze uśmiechniętą trwał godzinami, ażeby z nagła przy czyimś wejściu zatrzepotać rękoma jak skrzydłami i zapiać jak kogut.

Przestaliśmy zwracać uwagę na te dziwactwa, w które się z dnia na dzień głębiej wplątywał. Wyzbyty jakby zupełnie cielesnych potrzeb, nie przyjmując tygodniami pokarmu, pogrążał się z dniem każdym głębiej w zawiłe i dziwaczne afery, dla których nie mieliśmy zrozumienia. Niedosięgły dla naszych perswazji i próśb, odpowiadał urywkami swego wewnętrznego monologu, którego przebiegu nic z zewnątrz zmącić nie mogło. Wiecznie zaaferowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach nie zauważał nas i przeoczał.

Przywykliśmy do jego nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego świegotu, którego trele przebiegały niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy już znikał niekiedy na wiele dni, podziewał się gdzieś w zapadłych zakamarkach mieszkania i nie można go było znaleźć.

Stopniowo te zniknięcia przestały sprawiać na nas wrażenie, przywykliśmy do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawiał, o parę cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywało to na dłużej naszej uwagi. Przestaliśmy po prostu brać go w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. Węzeł po węźle odluźniał się od nas, punkt po punkcie gubił związki łączące go ze wspólnotą ludzką.

To, co jeszcze z niego pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw – mogły zniknąć pewnego dnia, tak samo niezauważone jak szara kupka śmieci, gromadząca się w kącie, którą Adela co dzień wynosiła na śmietnik.

Ptaki

Nadeszły żółte, pełne nudy dni zimowe. Zrudziałą ziemię pokrywał dziurawy, przetarty, za krótki obrus śniegu. Na wiele dachów nie starczyło go i stały czarne lub rdzawe, gontowe strzechy i arki kryjące w sobie zakopcone przestrzenie strychów – czarne, zwęglone katedry, najeżone żebrami krokwi, płatwi i bantów – ciemne płuca wichrów zimowych. Każdy świt odkrywał nowe kominy i dymniki, wyrosłe w nocy, wydęte przez wicher nocny, czarne piszczałki organów diabelskich. Kominiarze nie mogli opędzić się od wron, które na kształt żywych czarnych liści obsiadały wieczorem gałęzie drzew pod kościołem, odrywały się znów, trzepocąc, by wreszcie przylgnąć, każda do właściwego miejsca na właściwej gałęzi, a o świcie ulatywały wielkimi stadami – tumany sadzy, płatki kopciu, falujące i fantastyczne, plamiąc migotliwym krakaniem mętnożółte smugi świtu. Dni stwardniały od zimna i nudy, jak zeszłoroczne bochenki chleba. Napoczynano je tępymi nożami, bez apetytu, z leniwą sennością.

Ojciec nie wychodził już z domu. Palił w piecach, studiował nigdy niezgłębioną istotę ognia, wyczuwał słony, metaliczny posmak i wędzony zapach zimowych płomieni, chłodną pieszczotę salamander, liżących błyszczącą sadzę w gardzieli komina. Z zamiłowaniem wykonywał w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było widzieć, jak – przykucnięty na szczycie drabiny – majstrował coś przy suficie, przy kamiszach wysokich okien, przy kulach i łańcuchach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwał się

drabiną jak ogromnymi szczudłami i czuł się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesek i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalał się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu jego stanu, starała się go wciągnąć w rozmowę o interesach, o płatnościach najbliższego „ultimo", słuchał jej z roztargnieniem, pełen niepokoju, z drgawkami w nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywał jej nagle zaklinającym gestem ręki, ażeby pobiec w kąt pokoju, przylgnąć uchem do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu rąk, wyrażającymi najwyższą ważność badania – nasłuchiwać. Nie rozumieliśmy wówczas jeszcze smutnego tła tych ekstrawagancji, opłakanego kompleksu, który dojrzewał w głębi.

Matka nie miała nań żadnego wpływu, natomiast wielką czcią i uwagą darzył Adelę. Sprzątanie pokoju było dlań wielką i ważną ceremonią, której nie zaniedbywał nigdy być świadkiem, śledząc z mieszaniną strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywał głębsze, symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna młodymi i śmiałymi ruchami posuwała szczotkę na długim drążku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego lały się wówczas łzy, twarz zanosiła się od cichego śmiechu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na łaskotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym łaskotanie, a już w dzikim popłochu uciekał przez wszystkie pokoje, zatrzaskując za sobą drzwi, by wreszcie w ostatnim paść brzuchem na łóżko i wić się w konwulsjach śmiechu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną.

W tym to czasie zauważyliśmy u ojca po raz pierwszy namiętne zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namiętność

myśliwego i artysty zarazem, była może także głębsza, zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, a tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w niewypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie wzięła sprawa ten niesamowity, zaplątany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne.

Zaczęło się to od wylęgania jaj ptasich.

Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadzał ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapłodnione jaja ptasie, które dawał do wylęgania ogromnym kurom belgijskim. Był to proceder nader zajmujący i dla mnie – to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworów w kształcie i ubarwieniu. Nie podobna było dopatrzyć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierały się szeroko, sycząc żarłocznie czeluściami gardła, w tych jaszczurach o wątłym, nagim ciele garbusów – przyszłych pawi, bażantów, głuszców i kondorów. Umieszczony w koszykach, w wacie, smoczy ten pomiot podnosił na cienkich szyjach ślepe, bielmem zarosle głowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż półek w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nicości te pęcherze ślepe, pulsujące życiem, te niedołężne brzuchy, przyjmujące świat zewnętrzny tylko w formie jedzenia, te narośle życia, pnące się omackiem ku światłu. W parę tygodni później, gdy te ślepe pączki życia pękły do światła, napełniły się pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym świergotem swych nowych mieszkańców. Obsiadały one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnieździły się w gęstwinie cynowych gałęzi i arabesek wieloramiennych lamp wiszących.

Gdy ojciec studiował wielkie ornitologiczne kompendia i wertował kolorowe tablice, zdawały się ulatywać z nich te pierzaste fantazmaty i napełniać pokój kolorowym trzepotem, płatami purpury, strzępami szafiru, grynszpanu i srebra. Podczas karmienia tworzyły one na podłodze barwną, falującą grządkę, dywan żywy, który za czyimś niebacznym wejściem rozpadał się, rozlatywał w ruchome kwiaty, trzepocące w powietrzu, aby w końcu rozmieścić się w górnych regionach pokoju. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujałej naroślami. Był to chudy asceta, lama buddyjski, pełen niewzruszonej godności w całym zachowaniu, kierujący się żelaznym ceremoniałem swego wielkiego rodu. Gdy siedział naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawleczonym białawym bielmem, które zasuwał z boku na źrenice, ażeby zamknąć się zupełnie w kontemplacji swej dostojnej samotności – wydawał się ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciała, ścięgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyschła i koścista, te same zrogowaciałe, głębokie oczodoły. Nawet ręce, silne w węzłach, długie, chude dłonie ojca, z wypukłymi paznokciami, miały swój analogon w szponach kondora. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, widząc go tak uśpionego, że mam przed sobą mumię – wyschłą i dlatego pomniejszoną mumię mego ojca. Sądzę, że i uwagi matki nie uszło to przedziwne podobieństwo, chociaż nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Charakterystyczne jest, że kondor używał wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego.

Nie poprzestając na wylęganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urządzał na strychu wesela ptasie, wysyłał swatów, uwiązywał w lukach i dziurach strychu ponętne, stęsknione narzeczone

i osiągnął w samej rzeczy to, że dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy, stał się prawdziwą gospodą ptasią, arką Noego, do której zlatywały się wszelkiego rodzaju skrzydlacze z dalekich stron. Nawet długo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywała się w świecie ptasim ta tradycja naszego domu i w okresie wiosennych wędrówek spadały nieraz na nasz dach całe chmary żurawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa.

Impreza ta wzięła jednak niebawem – po krótkiej świetności – smutny obrót. Wkrótce okazała się bowiem konieczna translokacja ojca do dwóch pokojów na poddaszu, które służyły za rupieciarnie. Stamtąd dochodził już o wczesnym świcie zmieszany klangor głosów ptasich. Drewniane pudła pokojów na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dźwięczały całe od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak straciliśmy ojca z widoku na przeciąg kilku tygodni. Rzadko tylko schodził do mieszkania i wtedy mogliśmy zauważyć, że zmniejszył się jakoby, schudł i skurczył. Niekiedy przez zapomnienie zrywał się z krzesła przy stole i trzepiąc rękoma jak skrzydłami, wydawał pianie przeciągłe, a oczy zachodziły mu mgłą bielma. Potem, zawstydzony, śmiał się razem z nami i starał się ten incydent obrócić w żart.

Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawiła się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanąwszy we drzwiach, załamała ręce nad fetorem, który się unosił w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podłogi, stoły i meble. Szybko zdecydowana otworzyła okno, po czym przy pomocy długiej szczotki wprawiła całą masę ptasią w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady, zakrytej młyńcem swego tyrsu,

tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasią gromadą ojciec mój, trzepiąc rękoma, w przerażeniu próbował wznieść się w powietrze. Zwolna przerzedzał się tuman skrzydlaty, aż w końcu na pobojowisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną zafrasowaną i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji.

W chwilę później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium – człowiek złamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

Manekiny

Ta ptasia impreza mego ojca była ostatnim wybuchem kolorowości, ostatnim i świetnym kontrmarszem fantazji, który ten niepoprawny improwizator, ten fechtmistrz wyobraźni poprowadził na szańce i okopy jałowej i pustej zimy. Dziś dopiero rozumiem samotne bohaterstwo, z jakim sam jeden wydał on wojnę bezbrzeżnemu żywiołowi nudy drętwiącej miasto. Pozbawiony wszelkiego poparcia, bez uznania z naszej strony bronił ten mąż przedziwny straconej sprawy poezji. Był on cudownym młynem, w którego leje sypały się otręby pustych godzin, ażeby w jego trybach zakwitnąć wszystkimi kolorami i zapachami korzeni Wschodu. Ale przywykli do świetnego kuglarstwa tego metafizycznego prestidigitatora, byliśmy skłonni zapoznawać wartość jego suwerennej magii, która nas ratowała od letargu pustych dni i nocy. Adeli nie spotkał żaden wyrzut za jej bezmyślny i tępy wandalizm. Przeciwnie, czuliśmy jakieś niskie zadowolenie, haniebną satysfakcję z ukrócenia tych wybujałości, których kosztowaliśmy łakomie do syta, ażeby potem uchylić się perfidnie od odpowiedzialności za nie. A może był w tej zdradzie i tajny pokłon w stronę zwycięskiej Adeli, której przypisywaliśmy niejasno jakąś misje i posłannictwo sił wyższego rzędu. Zdradzony przez wszystkich, wycofał się ojciec bez walki z miejsc swej niedawnej chwały. Bez skrzyżowania szpad oddał w ręce wroga domenę swej byłej świetności. Dobrowolny banita usunął się do pustego pokoju na końcu sieni i oszańcował się tam samotnością.

Zapomnieliśmy o nim.

Obiegła nas znowu ze wszech stron żałobna szarość miasta, zakwitając w oknach ciemnym liszajem świtów, pasożytniczym grzybem zmierzchów, rozrastającym się w puszyste futro długich nocy zimowych. Tapety pokojów, rozluźnione błogo za tamtych dni i otwarte dla kolorowych lotów owej skrzydlatej czeredy, zamknęły się znów w sobie, zgęstniały plącząc się w monotonii gorzkich monologów.

Lampy poczerniały i zwiędły jak stare osty i bodiaki. Wisiały teraz osowiałe i zgryźliwe, dzwoniąc cicho kryształkami szkiełek, gdy ktoś przeprawiał się omackiem przez zmierzch pokoju. Na próżno wetknęła Adela we wszystkie ramiona tych lamp kolorowe świece, nieudolny surogat, blade wspomnienie świetnych iluminacji, którymi kwitły niedawno wiszące ich ogrody. Ach! gdzie było to świegotliwe pączkowanie, to owocowanie pośpieszne i fantastyczne w bukietach tych lamp, z których jak z pękających czarodziejskich tortów ulatywały skrzydlate fantazmaty, rozbijające powietrze na talie kart magicznych, rozsypując je w kolorowe oklaski, sypiące się gęstymi łuskami lazuru, pawiej, papuziej zieleni, metalicznych połysków, rysując w powietrzu linie i arabeski, migotliwe ślady lotów i kołowań, rozwijając kolorowe wachlarze trzepotów, utrzymujące się długo po przelocie w bogatej i błyskotliwej atmosferze. Jeszcze teraz kryły się w głębi zszarzałej aury echa i możliwości barwnych rozbłysków, lecz nikt nie nawiercał fletem, nie doświadczał świdrem zmętniałych słojów powietrznych.

Tygodnie te stały pod znakiem dziwnej senności.

Łóżka cały dzień nie zaścielone, zawalone pościelą zmiętą i wytarzaną od ciężkich snów, stały jak głębokie łodzie gotowe do odpływu w mokre i zawiłe labirynty jakiejś czarnej, bezgwiezdnej Wenecji. O głuchym świcie Adela przynosiła nam

kawę. Ubieraliśmy się leniwie w zimnych pokojach, przy świetle świecy odbitej wielokrotnie w czarnych szybach okien. Poranki te były pełne bezładnego krzątania się, rozwlekłego szukania w różnych szufladach i szafach. Po całym mieszkaniu słychać było kłapanie pantofelków Adeli. Subiekci zapalali latarnie, brali z rąk matki wielkie klucze sklepowe i wychodzili w gęstą, wirującą ciemność. Matka nie mogła dojść do ładu z toaletą. Świece dogasały w lichtarzu. Adela przepadała gdzieś w odległych pokojach lub na strychu, gdzie rozwieszała bieliznę. Nie można jej się było dowołać. Młody jeszcze, mętny i brudny ogień w piecu lizał zimne, błyszczące narośle sadzy w gardzieli komina. Świeca gasła, pokój pogrążał się w ciemności. Z głowami na obrusie stołu, wśród resztek śniadania zasypialiśmy na wpół ubrani. Leżąc twarzami na futrzanym brzuchu ciemności, odpływaliśmy na jego falistym oddechu w bezgwiezdną nicość. Budziło nas głośne sprzątanie Adeli. Matka nie mogła uporać się z toaletą. Nim skończyła czesanie, subiekci wracali na obiad. Mrok na rynku przybierał kolor złotawego dymu. Przez chwilę z tych dymnych miodów, z tych mętnych bursztynów mogły się rozpowić kolory najpiękniejszego popołudnia. Ale szczęśliwy moment mijał, amalgamat świtu przekwitał, wezbrany ferment dnia, już niemal dościgły, opadał z powrotem w bezsilną szarość. Zasiadaliśmy do stołu, subiekci zacierali czerwone z zimna ręce i nagle proza ich rozmów sprowadzała od razu pełny dzień, szary i pusty wtorek, dzień bez tradycji i bez twarzy. Ale gdy pojawiał się na stole półmisek z rybą w szklistej galarecie, dwie duże ryby leżące bok przy boku, głową do ogona jak figura zodiakalna, odpoznawaliśmy w nich herb owego dnia, emblemat kalendarzowy bezimiennego wtorku, i rozbieraliśmy go pospiesznie między siebie, pełni ulgi, że dzień odzyskał w nim swą fizjonomię.

Subiekci spożywali go z namaszczeniem, z powagą kalendarzowej ceremonii. Zapach pieprzu rozchodził się po pokoju. A gdy wytarli bułką ostatek galarety ze swych talerzy, rozważając w myśli heraldykę następnych dni tygodnia, i na półmisku zostawały tylko głowy z wygotowanymi oczyma – czuliśmy wszyscy, że dzień został wspólnymi siłami pokonany i że reszta nie wchodziła już w rachubę.

W samej rzeczy z resztą tą, wydaną na jej łaskę, Adela nie robiła sobie długich ceregieli. Wśród brzęku garnków i chlustów zimnej wody likwidowała z energią tych parę godzin do zmierzchu, które matka przesypiała na otomanie. Tymczasem w jadalni przygotowywano już scenerię wieczoru. Polda i Paulina, dziewczęta do szycia, rozgospodarowywały się w niej z rekwizytami swego fachu. Na ich ramionach wniesiona wchodziła do pokoju milcząca, nieruchoma pani, dama z kłaków i płótna, z czarną drewnianą gałką zamiast głowy. Ale ustawiona w kącie, między drzwiami a piecem, ta cicha dama stawała się panią sytuacji. Ze swego kąta, stojąc nieruchomo, nadzorowała w milczeniu pracę dziewcząt. Pełna krytycyzmu i niełaski przyjmowała ich starania i umizgi, z jakimi przyklękały przed nią, przymierzając fragmenty sukni, znaczone białą fastrygą. Obsługiwały z uwagą i cierpliwością milczący idol, którego nic zadowolić nie mogło. Ten moloch był nieubłagany, jak tylko kobiece molochy być potrafią, i odsyłał je wciąż na nowo do pracy, a one, wrzecionowate i smukłe, podobne do szpuli drewnianych, z których odwijały się nici, i tak ruchliwe jak one, manipulowały zgrabnymi ruchami nad tą kupą jedwabiu i sukna, wcinały się szczękającymi nożycami w jej kolorową masę, furkotały maszyną, depcąc pedał lakierkową, tanią nóżką, a dookoła nich rosła kupa odpadków, różnokolorowych strzępów i szmatek, jak wyplute łuski i plewy dookoła dwóch wybrednych

i marnotrawnych papug. Krzywe szczęki nożyc otwierały się ze skrzypieniem, jak dzioby tych kolorowych ptaków.

Dziewczęta deptały nieuważnie po barwnych obrzynkach, brodząc nieświadomie niby w śmietniku możliwego jakiegoś karnawału, w rupieciami jakiejś wielkiej nieurzeczywistnionej maskarady. Otrzepywały się ze szmatek z nerwowym śmiechem, łaskotały oczyma zwierciadła. Ich dusze, szybkie czarodziejstwo ich rąk było nie w nudnych sukniach, które zostawały na stole, ale w tych setkach odstrzygnięć, w tych wiórach lekkomyślnych i płochych, którymi zasypać mogły cale miasto, jak kolorową fantastyczną śnieżycą. Nagle było im gorąco i otwierały okno, ażeby w niecierpliwości swej samotni, w głodzie obcych twarzy, przynajmniej bezimienną twarz zobaczyć, do okna przyciśniętą. Wachlowały rozpalone swe policzki przed wzbierającą firankami nocą zimową – odsłaniały płonące dekolty, pełne nienawiści do siebie i rywalizacji, gotowe stanąć do walki o tego pierrota, którego by ciemny powiew nocy przywiał na okno. Ach! jak mało wymagały one od rzeczywistości. Miały wszystko w sobie, miały nadmiar wszystkiego w sobie. Ach! byłby im wystarczył pierrot wypchany trocinami, jedno-dwa słowa, na które od dawna czekały, by móc wpaść w swą rolę dawno przygotowaną, z dawna tłoczącą się na usta, pełną słodkiej i strasznej goryczy, ponoszącą dziko, jak stronice romansu połykane nocą wraz ze łzami ronionymi na wypieki lic.

Podczas jednej ze swych wędrówek wieczornych po mieszkaniu, przedsiębranych pod nieobecność Adeli, natknął się mój ojciec na ten cichy seans wieczorny. Przez chwilę stał w ciemnych drzwiach przyległego pokoju, z lampą w ręku, oczarowany sceną pełną gorączki i wypieków, tą idyllą z pudru, kolorowej bibułki i atropiny, której jako tło pełne znaczenia podłożona była noc

zimowa, oddychająca wśród wzdętych firanek okna. Nakładając okulary, zbliżył się w paru krokach i obszedł dookoła dziewczęta, oświecając je podniesioną w ręku lampą. Przeciąg z otwartych drzwi podniósł firanki u okna, panienki dawały się oglądać, kręcąc się w biodrach, polśniewając emalią oczu, lakiem skrzypiących pantofelków, sprzączkami podwiązek pod wzdętą od wiatru sukienką; szmatki jęły umykać po podłodze, jak szczury, ku uchylonym drzwiom ciemnego pokoju, a ojciec mój przyglądał się uważnie prychającym osóbkom, szepcąc półgłosem: – Genus avium... jeśli się nie mylę, scansores albo pistacci... w najwyższym stopniu godne uwagi.

Przypadkowe to spotkanie stało się początkiem całej serii seansów, podczas których ojciec mój zdołał rychło oczarować obie panienki urokiem swej przedziwnej osobistości. Odpłacając się za pełną galanterii i dowcipu konwersację, którą zapełniał im pustkę wieczorów – dziewczęta pozwalały zapalonemu badaczowi studiować strukturę swych szczupłych i tandetnych ciałek. Działo się to w toku konwersacji, z powagą i wytwornością, która najryzykowniejszym punktom tych badań odbierała dwuznaczny ich pozór. Odsuwając pończoszkę z kolana Pauliny i studiując rozmiłowanymi oczyma zwięzłą i szlachetną konstrukcję przegubu, ojciec mój mówił: – Jakże pełna uroku i jak szczęśliwa jest forma bytu, którą panie obrały. Jakże piękna i prosta jest teza, którą dano wam swym życiem ujawnić. Lecz za to z jakim mistrzostwem, z jaką finezją wywiązują się panie z tego zadania. Gdybym odrzucając respekt przed Stwórcą, chciał się zabawić w krytykę stworzenia, wołałbym: – mniej treści, więcej formy! Ach, jakby ulżył światu ten ubytek treści. Więcej skromności w zamierzeniach, więcej wstrzemięźliwości w pretensjach – panowie demiurdzy – a świat byłby doskonalszy! – wołał mój ojciec akurat w momencie, gdy

dłoń jego wyłuskiwała białą łydkę Pauliny z uwięzi pończoszki. W tej chwili Adela stanęła w otwartych drzwiach jadalni, niosąc tacę z podwieczorkiem. Było to pierwsze spotkanie dwu tych wrogich potęg od czasu wielkiej rozprawy. My wszyscy, którzy asystowaliśmy przy tym spotkaniu, przeżyliśmy chwilę wielkiej trwogi. Było nam nadwyraz przykro być świadkami nowego upokorzenia i tak już ciężko doświadczonego męża. Mój ojciec powstał z klęczek bardzo zmieszany, falą po fali zabarwiała się jego twarz coraz ciemniej napływem wstydu. Ale Adela znalazła się niespodzianie na wysokości sytuacji. Podeszła z uśmiechem do ojca i dała mu prztyczka w nos. Na to hasło Polda i Paulina klasnęły radośnie w dłonie, zatupotały nóżkami i uwiesiwszy się z obu stron u ramion ojca, obtańczyły z nim stół dookoła. W ten sposób, dzięki dobremu sercu dziewcząt, rozwiał się zarodek przykrego konfliktu w ogólnej wesołości.

Oto jest początek wielce ciekawych i dziwnych prelekcji, które mój ojciec, natchniony urokiem tego małego i niewinnego audytorium, odbywał w następnych tygodniach owej wczesnej zimy.

Jest godne uwagi, jak w zetknięciu z niezwykłym tym człowiekiem rzeczy wszystkie cofały się niejako do korzenia swego bytu, odbudowywały swe zjawisko aż do metafizycznego jądra, wracały niejako do pierwotnej idei, ażeby w tym punkcie sprzeniewierzyć się jej i przechylić w te wątpliwe, ryzykowne i dwuznaczne regiony, które nazwiemy tu krótko regionami wielkiej herezji. Nasz herezjarcha szedł wśród rzeczy jak magnetyzer, zarażając je i uwodząc swym niebezpiecznym czarem. Czy mam nazwać i Paulinę jego ofiarą? Stała się ona w owych dniach jego uczennicą, adeptką jego teoryj, modelem jego eksperymentów.

Tutaj postaram się wyłożyć z należytą ostrożnością, i unikając zgorszenia, tę nader kacerską doktrynę, która opętała wówczas na długie miesiące mego ojca i opanowała wszystkie jego poczynania.

Traktat o manekinach

albo Wtóra Księga Rodzaju

Demiurgos – mówił mój ojciec – nie posiadł monopolu na tworzenie – tworzenie jest przywilejem wszystkich duchów. Materii dana jest nieskończona płodność, niewyczerpana moc życiowa i zarazem uwodna siła pokusy, która nas nęci do formowania. W głębi materii kształtują się niewyraźne uśmiechy, zawiązują się napięcia, zgęszczają się próby kształtów. Cała materia faluje od nieskończonych możliwości, które przez nią przechodzą mdłymi dreszczami. Czekając na ożywcze tchnienie ducha, przelewa się ona w sobie bez końca, kusi tysiącem słodkich okrąglizn i miękkości, które z siebie w ślepych rojeniach wymajacza.

Pozbawiona własnej inicjatywy, lubieżnie podatna, po kobiecemu plastyczna, uległa wobec wszystkich impulsów – stanowi ona teren wyjęty spod prawa, otwarty dla wszelkiego rodzaju szarlatanerii i dyletantyzmów, domenę wszelkich nadużyć i wątpliwych manipulacji demiurgicznych. Materia jest najbierniejszą i najbezbronniejszą istotą w kosmosie. Każdy może ją ugniatać, formować, każdemu jest posłuszna. Wszystkie organizacje materii są nietrwałe i luźne, łatwe do uwstecznienia i rozwiązania. Nie ma żadnego zła w redukcji życia do form innych i nowych. Zabójstwo nie jest grzechem. Jest ono nieraz koniecznym gwałtem wobec opornych i skostniałych form bytu, które przestały być zajmujące. W interesie ciekawego i ważnego eksperymentu może ono nawet

stanowić zasługę. Tu jest punkt wyjścia dla nowej apologii sadyzmu.

Mój ojciec był niewyczerpany w gloryfikacji tego przedziwnego elementu, jakim była materia. – Nie ma materii martwej – nauczał – martwota jest jedynie pozorem, za którym ukrywają się nieznane formy życia. Skala tych form jest nieskończona, a odcienie i niuanse niewyczerpane. Demiurgos był w posiadaniu ważnych i ciekawych recept twórczych. Dzięki nim stworzył on mnogość rodzajów, odnawiających się własną siłą. Nie wiadomo, czy recepty te kiedykolwiek zostaną zrekonstruowane. Ale jest to niepotrzebne, gdyż jeśliby nawet te klasyczne metody kreacji okazały się raz na zawsze niedostępne, pozostają pewne metody illegalne, cały bezmiar metod heretyckich i występnych.

W miarę jak ojciec od tych ogólnych zasad kosmogonii zbliżał się do terenu swych ciaśniejszych zainteresowań, głos jego zniżał się do wnikliwego szeptu, wykład stawał się coraz trudniejszy i zawilszy, a wyniki, do których dochodził, gubiły się w coraz bardziej wątpliwych i ryzykownych regionach. Gestykulacja jego nabierała ezoterycznej solenności. Przymykał jedno oko, przykładał dwa palce do czoła, chytrość jego spojrzenia stawała się wprost niesamowita. Wwiercał się tą chytrością w swe interlokutorki, gwałcił cynizmem tego spojrzenia najwstydliwsze, najintymniejsze w nich rezerwy i dosięgał wymykające się w najgłębszym zakamarku, przypierał do ściany i łaskotał, drapał ironicznym palcem, póki nie dołaskotał się błysku zrozumienia i śmiechu, śmiechu przyznania i porozumienia się, którym w końcu musiało się kapitulować.

Dziewczęta siedziały nieruchomo, lampa kopciła, sukno pod igłą maszyny dawno się zsunęło, a maszyna stukotała pusto, stębnując

czarne, bezgwiezdne sukno, odwijające się z postawu nocy zimowej za oknem.

– Zbyt długo żyliśmy pod terrorem niedościgłej doskonałości Demiurga – mówił mój ojciec – zbyt długo doskonałość jego tworu paraliżowała naszą własną twórczość. Nie chcemy z nim konkurować. Nie mamy ambicji mu dorównać. Chcemy być twórcami we własnej, niższej sferze, pragniemy dla siebie twórczości, pragniemy rozkoszy twórczej, pragniemy – jednym słowem – demiurgii. – Nie wiem, w czyim imieniu proklamował mój ojciec te postulaty, jaka zbiorowość, jaka korporacja, sekta czy zakon, nadawała swą solidarnością patos jego słowom. Co do nas, to byliśmy dalecy od wszelkich zakusów demiurgicznych.

Lecz ojciec mój rozwinął tymczasem program tej wtórej demiurgii, obraz tej drugiej generacji stworzeń, która stanąć miała w otwartej opozycji do panującej epoki. – Nie zależy nam – mówił on – na tworach o długim oddechu, na istotach na daleką metę. Nasze kreatury nie będą bohaterami romansów w wielu tomach. Ich role będą krótkie, lapidarne, ich charaktery – bez dalszych planów. Często dla jednego gestu, dla jednego słowa podejmiemy się trudu powołania ich do życia na tę jedną chwilę. Przyznajemy otwarcie: nie będziemy kładli nacisku na trwałość ani solidność wykonania, twory nasze będą jak gdyby prowizoryczne, na jeden raz zrobione. Jeśli będą to ludzie, to damy im na przykład tylko jedną stronę twarzy, jedną rękę, jedną nogę, tę mianowicie, która im będzie w ich roli potrzebna. Byłoby pedanterią troszczyć się o ich drugą, niewchodzącą w grę nogę. Z tyłu mogą być po prostu zaszyte płótnem lub pobielone. Naszą ambicję pokładać będziemy w tej dumnej dewizie: dla każdego gestu inny aktor. Do obsługi każdego słowa, każdego czynu powołamy do życia innego

człowieka. Taki jest nasz smak, to będzie świat według naszego gustu. Demiurgos kochał się w wytrawnych, doskonałych i skomplikowanych materiałach, my dajemy pierwszeństwo tandecie. Po prostu porywa nas, zachwyca taniość, lichota, tandetność materiału. Czy rozumiecie – pytał mój ojciec – głęboki sens tej słabości, tej pasji do pstrej bibułki, do papier mâché, do lakowej farby, do kłaków i trociny? To jest – mówił z bolesnym uśmiechem – nasza miłość do materii jako takiej, do jej puszystości i porowatości, do jej jedynej, mistycznej konsystencji. Demiurgos, ten wielki mistrz i artysta, czyni ją niewidzialną, każe jej zniknąć pod grą życia. My, przeciwnie, kochamy jej zgrzyt, jej oporność, jej pałubiastą niezgrabność. Lubimy pod każdym gestem, pod każdym ruchem widzieć jej ociężały wysiłek, jej bezwład, jej słodką niedźwiedziowatość.

Dziewczęta siedziały nieruchomo z szklanymi oczyma. Twarze ich były wyciągnięte i zgłupiałe zasłuchaniem, policzki podmalowane wypiekami, trudno było w tej chwili ocenić, czy należą do pierwszej, czy do drugiej generacji stworzenia.

– Słowem – konkludował mój ojciec – chcemy stworzyć po raz wtóry człowieka, na obraz i podobieństwo manekinu.

Tu musimy dla wierności sprawozdawczej opisać pewien drobny i błahy incydent, który zaszedł w tym punkcie prelekcji i do którego nie przywiązujemy żadnej wagi. Incydent ten, całkowicie niezrozumiały i bezsensowny w tym danym szeregu zdarzeń, da się chyba wytłumaczyć jako pewnego rodzaju automatyzm szczątkowy, bez antecedensów i bez ciągłości, jako pewnego rodzaju złośliwość obiektu, przeniesiona w dziedzinę psychiczną. Radzimy czytelnikowi zignorować go z równą lekkomyślnością, jak my to czynimy. Oto jego przebieg:

W chwili gdy mój ojciec wymawiał słowo „manekin”, Adela spojrzała na zegarek na bransoletce, po czym porozumiała się spojrzeniem z Poldą. Teraz wysunęła się wraz z krzesłem o piędź naprzód, podniosła brzeg sukni, wystawiła powoli stopę, opiętą w czarny jedwab, i wyprężyła ją jak pyszczek węża.

Tak siedziała przez cały czas tej sceny, całkiem sztywno, z wielkimi, trzepoczącymi oczyma, pogłębionymi lazurem atropiny, z Poldą i Paulina po obu bokach. Wszystkie trzy patrzyły rozszerzonymi oczami na ojca. Mój ojciec chrząknął, zamilkł, pochylił się i stał się nagle bardzo czerwony. W jednej chwili lineatura jego twarzy, dopiero co tak rozwichrzona i pełna wibracji, zamknęła się na spokorniałych rysach.

On – herezjarcha natchniony, ledwo wypuszczony z wichru uniesienia – złożył się nagle w sobie, zapadł i zwinął. A może wymieniono go na innego. Ten inny siedział sztywny, bardzo czerwony, ze spuszczonymi oczyma. Panna Polda podeszła i pochyliła się nad nim. Klepiąc go lekko po plecach, mówiła tonem łagodnej zachęty: – Jakub będzie rozsądny, Jakub posłucha, Jakub nie będzie uparty. No, proszę... Jakub, Jakub...

Wypięty pantofelek Adeli drżał lekko i błyszczał jak języczek węża. Mój ojciec podniósł się powoli ze spuszczonymi oczyma, postąpił krok naprzód, jak automat, i osunął się na kolana. Lampa syczała w ciszy, w gęstwinie tapet biegły tam i z powrotem wymowne spojrzenia, leciały szepty jadowitych języków, gzygzaki myśli...

Traktat o manekinach

Ciąg dalszy

Następnego wieczora ojciec podjął z odnowioną swadą ciemny i zawiły swój temat. Lineatura jego zmarszczek rozwijała się i zawijała z wyrafinowaną chytrością. W każdej spirali ukryty był pocisk ironii. Ale czasami inspiracja rozszerzała kręgi jego zmarszczek, które rosły jakąś ogromną wirującą grozą, uchodząc w milczących wolutach w głąb nocy zimowej. – Figury panopticum, moje panie – zaczął on – kalwaryjskie parodie manekinów, ale nawet w tej postaci strzeżcie się lekko je traktować. Materia nie zna żartów. Jest ona zawsze pełna tragicznej powagi. Kto ośmiela się myśleć, że można igrać z materią, że kształtować ją można dla żartu, że żart nie wrasta w nią, nie wżera się natychmiast jak los, jak przeznaczenie? Czy przeczuwacie ból, cierpienie głuche, nie wyzwolone, zakute w materię cierpienie tej pałuby, która nie wie, czemu nią jest, czemu musi trwać w tej gwałtem narzuconej formie, będącej parodią? Czy pojmujecie potęgę wyrazu, formy, pozoru, tyrańską samowolę, z jaką rzuca się on na bezbronną kłodę i opanowuje, jak własna, tyrańska, panosząca się dusza? Nadajecie jakiejś głowie z kłaków i płótna wyraz gniewu i pozostawiacie ją z tym gniewem, z tą konwulsją, z tym napięciem raz na zawsze, zamkniętą ze ślepą złością, dla której nie ma odpływu. Tłum śmieje się z tej parodii. Płaczcie, moje panie, nad losem własnym, widząc nędzę materii więzionej, gnębionej materii, która nie wie, kim jest

i po co jest, dokąd prowadzi ten gest, który jej raz na zawsze nadano.

Tłum śmieje się. Czy rozumiecie straszny sadyzm, upajające, demiurgiczne okrucieństwo tego śmiechu? Bo przecież płakać nam, moje panie, trzeba nad losem własnym na widok tej nędzy materii, gwałconej materii, na której dopuszczono się strasznego bezprawia. Stąd płynie, moje panie, straszny smutek wszystkich błazeńskich golemów, wszystkich pałub, zadumanych tragicznie nad śmiesznym swym grymasem.

Oto jest anarchista Luccheni, morderca cesarzowej Elżbiety, oto Draga, demoniczna i nieszczęśliwa królowa Serbii, oto genialny młodzieniec, nadzieja i duma rodu, którego zgubił nieszczęsny nałóg onanii. O, ironio tych nazw, tych pozorów!

Czy jest w tej pałubie naprawdę coś z królowej Dragi, jej sobowtór, najdalszy bodaj cień jej istoty? To podobieństwo, ten pozór, ta nazwa uspokaja nas i nie pozwala nam pytać, kim jest dla siebie samego ten twór nieszczęśliwy. A jednak to musi być ktoś, moje panie, ktoś anonimowy, ktoś groźny, ktoś nieszczęśliwy, ktoś, co nie słyszał nigdy w swym głuchym życiu o królowej Dradze...

Czy słyszeliście po nocach straszne wycie tych pałub woskowych, zamkniętych w budach jarmarcznych, żałosny chór tych kadłubów z drzewa i porcelany, walących pięściami w ściany swych więzień?

W twarzy mego ojca, rozwichrzonej grozą spraw, które wywołał z ciemności, utworzył się wir zmarszczek, lej rosnący w głąb, na którego dnie gorzało groźne oko prorocze. Broda jego zjeżyła się dziwnie, wiechcie i pędzle włosów, strzelające z brodawek, z pieprzów, z dziurek od nosa, nastroszyły się na swych korzonkach. Tak stał drętwy, z gorejącymi oczyma, drżąc od wewnętrznego wzburzenia, jak automat, który zaciął się i zatrzymał na martwym punkcie.

Adela wstała z krzesła i poprosiła nas o przymknięcie oczu na to, co się za chwilę stanie. Potem podeszła do ojca i z rękoma na biodrach, przybierając pozór podkreślonej stanowczości, zażądała bardzo dobitnie...

Panienki siedziały sztywno, ze spuszczonymi oczyma, w dziwnej drętwości...

Traktat o manekinach

Dokończenie

Któregoś z następnych wieczorów ojciec mój w te słowa ciągnął dalej swą prelekcję:

– Nie o tych nieporozumieniach ucieleśnionych, nie o tych smutnych parodiach, moje panie, owocach prostackiej i wulgarnej niepowściągliwości – chciałem mówić zapowiadając mą rzecz o manekinach. Miałem na myśli coś innego.

Tu ojciec mój zaczął budować przed naszymi oczyma obraz tej wymarzonej przez niego „generaiio aequivoca", jakiegoś pokolenia istot na wpół tylko organicznych, jakiejś pseudowegetacji i pseudofauny, rezultatów fantastycznej fermentacji materii.

Były to twory podobne z pozoru do istot żywych, do kręgowców, skorupiaków, członkonogów, lecz pozór ten mylił. Były to w istocie istoty amorfne, bez wewnętrznej struktury, płody imitatywnej tendencji materii, która obdarzona pamięcią, powtarza z przyzwyczajenia raz przyjęte kształty. Skala morfologii, której podlega materia, jest w ogóle ograniczona i pewien zasób form powtarza się wciąż na różnych kondygnacjach bytu.

Istoty te – ruchliwe, wrażliwe na bodźce, a jednak dalekie od prawdziwego życia – można było otrzymać zawieszając pewne skomplikowane koloidy w roztworach soli kuchennej. Koloidy te po kilku dniach formowały się, organizowały w pewne zagęszczenia substancji przypominającej niższe formy fauny.

U istot tak powstałych można było stwierdzić proces oddychania, przemianę materii, ale analiza chemiczna nie wykazywała w nich nawet śladu połączeń białkowych ani w ogóle związków węgla.

Wszelako prymitywne te formy były niczym w porównaniu z bogactwem kształtów i wspaniałości pseudofauny i flory, która pojawia się niekiedy w pewnych ściśle określonych środowiskach. Środowiskami tymi są stare mieszkania, przesycone emanacjami wielu żywotów i zdarzeń – zużyte atmosfery, bogate w specyficzne ingrediencje marzeń ludzkich – rumowiska, obfitujące w humus wspomnień, tęsknot, jałowej nudy. Na takiej glebie owa pseudowegetacja kiełkowała szybko i powierzchownie, pasożytowała obficie i efemerycznie, pędziła krótkotrwałe generacje, które rozkwitały raptownie i świetnie, ażeby wnet zgasnąć i zwiędnąć.

Tapety muszą być w takich mieszkaniach już bardzo zużyte i znudzone nieustanną wędrówką po wszystkich kadencjach rytmów; nic dziwnego, że schodzą na manowce dalekich, ryzykownych rojeń. Rdzeń mebli, ich substancja musi już być rozluźniona, zdegenerowana i podległa występnym pokusom: wtedy na tej chorej, zmęczonej i zdziczałej glebie wykwita, jak piękna wysypka, nalot fantastyczny, kolorowa, bujająca pleśń.

– Wiedzą panie – mówił ojciec mój – że w starych mieszkaniach bywają pokoje, o których się zapomina. Nieodwiedzane miesiącami, więdną w opuszczeniu między starymi murami i zdarza się, że zasklepiają się w sobie, zarastają cegłą i, raz na zawsze stracone dla naszej pamięci, powoli tracą też swą egzystencję. Drzwi, prowadzące do nich z jakiegoś podestu tylnych schodów, mogą być tak dhigo przeoczane przez domowników, aż wrastają, wchodzą w ścianę, która zaciera ich ślad w fantastycznym rysunku pęknięć i rys.

– Wszedłem raz – mówił ojciec mój – wczesnym rankiem na schyłku zimy, po wielu miesiącach nieobecności, do takiego na wpół zapomnianego traktu i zdumiony byłem wyglądem tych pokojów.

Z wszystkich szpar w podłodze, z wszystkich gzymsów i framug wystrzelały cienkie pędy i napełniały szare powietrze migotliwą koronką filigranowego listowia, ażurową gęstwiną jakiejś cieplarni, pełnej szeptów, lśnień, kołysań, jakiejś fałszywej i błogiej wiosny. Dookoła łóżka, pod wieloramienną lampą, wzdłuż szaf chwiały się kępy delikatnych drzew, rozpryskiwały w górze w świetliste korony, w fontanny koronkowego listowia, bijące aż pod malowane niebo sufitu rozpylonym chlorofilem. W przyspieszonym procesie kwitnienia kiełkowały w tym listowiu ogromne, białe i różowe kwiaty, pączkowały w oczach, bujały od środka różowym miąższem i przelewały się przez brzegi, gubiąc płatki i rozpadając się w prędkim przekwitaniu.

– Byłem szczęśliwy – mówił mój ojciec – z tego niespodzianego rozkwitu, który napełnił powietrze migotliwym szelestem, łagodnym szumem, przesypującym się jak kolorowe confetti przez cienkie rózgi gałązek.

Widziałem, jak z drgania powietrza, z fermentacji zbyt bogatej aury wydziela się i materializuje to pospieszne kwitnienie, przelewanie się i rozpadanie fantastycznych oleandrów, które napełniły pokój rzadką, leniwą śnieżycą wielkich, różowych kiści kwietnych.

– Nim zapadł wieczór – kończył ojciec – nie było już śladu tego świetnego rozkwitu. Cała złudna ta fatamorgana była tylko mistyfikacją, wypadkiem dziwnej symulacji materii, która podszywa się pod pozór życia.

Ojciec mój był dnia tego dziwnie ożywiony, spojrzenia jego, chytre, ironiczne spojrzenia, tryskały werwą i humorem. Potem, nagle poważniejąc, znów rozpatrywał nieskończoną skalę form i odcieni, jakie przybierała wielokształtna materia. Fascynowały go formy graniczne, wątpliwe i problematyczne, jak ektoplazma somnambulików, pseudomateria, emanacja kataleptyczna mózgu, która w pewnych wypadkach rozrastała się z ust uśpionego na cały stół, napełniała cały pokój, jako bujająca, rzadka tkanka, astralne ciasto, na pograniczu ciała i ducha.

– Kto wie – mówił – ile jest cierpiących, okaleczonych, fragmentarycznych postaci życia, jak sztucznie sklecone, gwoździami na gwałt zbite życie szaf i stołów, ukrzyżowanego drzewa, cichych męczenników okrutnej pomysłowości ludzkiej. Straszliwe transplantacje obcych i nienawidzących się ras drzewa, skucie ich w jedną nieszczęśliwą osobowość.

Ile starej, mądrej męki jest w bejcowanych słojach, żyłach i fladrach naszych starych, zaufanych szaf. Kto rozpozna w nich stare, zheblowane, wypolerowane do niepoznaki rysy, uśmiechy, spojrzenia!

Twarz mego ojca, gdy to mówił, rozeszła się zamyśloną lineaturą zmarszczek, stała się podobna do sęków i słojów starej deski, z której zheblowano wszystkie wspomnienia. Przez chwilę myśleliśmy, że ojciec popadnie w stan drętwoty, który nawiedzał go czasem, ale ocknął się nagle, opamiętał i tak ciągnął dalej:

– Dawne, mistyczne plemiona balsamowały swych umarłych. W ściany ich mieszkań były wprawione, wmurowane ciała, twarze: w salonie stał ojciec – wypchany, wygarbowana żona-nieboszczka była dywanem pod stołem. Znałem pewnego kapitana, który miał w swej kajucie lampę-meluzynę, zrobioną przez malajskich

balsamistów z jego zamordowanej kochanki. Na głowie miała ogromne rogi jelenie.

W ciszy kajuty głowa ta, rozpięta między gałęziami rogów u stropu, powoli otwierała rzęsy oczu; na rozchylonych ustach lśniła błonka śliny, pękająca od cichego szeptu. Głowonogi, żółwie i ogromne kraby, zawieszone na belkach sufitu jako kandelabry i pająki, przebierały w tej ciszy bez końca nogami, szły i szły na miejscu...

Twarz mojego ojca przybrała naraz wyraz troski i smutku, gdy myśli jego na drogach nie wiedzieć jakich asocjacji przeszły do nowych przykładów:

– Czy mam przemilczeć – mówił przyciszonym głosem – że brat mój na skutek długiej i nieuleczalnej choroby zamienił się stopniowo w zwój kiszek gumowych, że biedna moja kuzynka dniem i nocą nosiła go w poduszkach, nucąc nieszczęśliwemu stworzeniu nieskończone kołysanki nocy zimowych? Czy może być coś smutniejszego niż człowiek zamieniony w kiszkę hegarową? Co za rozczarowanie dla rodziców, co za dezorientacja dla ich uczuć, co za rozwianie wszystkich nadziei, wiązanych z obiecującym młodzieńcem! A jednak wierna miłość biednej kuzynki towarzyszyła mu i w tej przemianie.

– Ach! nie mogę już dłużej, nie mogę tego słuchać! – jęknęła Polda przechylając się na krześle. – Ucisz go, Adelo...

Dziewczęta wstały, Adela podeszła do ojca i wyciągniętym palcem uczyniła ruch zaznaczający łaskotanie. Ojciec stropił się, zamilkł i zaczął, pełen przerażenia, cofać się tyłem przed kiwającym się palcem Adeli. Ta szła za nim ciągle, grożąc mu jadowicie palcem, i wypierała go krok za krokiem z pokoju. Paulina ziewnęła przeciągając się. Obie z Poldą, wsparte o siebie ramionami, spojrzały sobie w oczy z uśmiechem.

Nemrod

Cały sierpień owego roku przebawiłem się z małym, kapitalnym pieskiem, który pewnego dnia znalazł się na podłodze naszej kuchni, niedołężny i piszczący, pachnący jeszcze mlekiem i niemowlęctwem, z nieuformowanym, okrągławym, drżącym łebkiem, z łapkami jak u kreta rozkraczonymi na boki i z najdelikatniejszą, mięciutką sierścią.

Od pierwszego wejrzenia zdobyła sobie ta kruszynka życia cały zachwyt, cały entuzjazm chłopięcej duszy.

Z jakiego nieba spadł tak niespodzianie ten ulubieniec bogów, milszy sercu od najpiękniejszych zabawek? Że też stare, zgoła nieinteresujące pomywaczki wpadają niekiedy na tak świetne pomysły i przynoszą z przedmieścia – o całkiem wczesnej, transcendentalnej porannej godzinie – takiego oto pieska do naszej kuchni!

Ach! było się jeszcze – niestety – nieobecnym, nieurodzonym z ciemnego łona snu, a już to szczęście ziściło się, już czekało na nas, niedołężnie leżące na chłodnej podłodze kuchni, niedocenione przez Adelę i domowników. Dlaczego nie obudzono mnie wcześniej! Talerzyk mleka na podłodze świadczył o macierzyńskich impulsach Adeli, świadczył niestety także i o chwilach przeszłości, dla mnie na zawsze straconej, o rozkoszach przybranego macierzyństwa, w których nie brałem udziału.

Ale przede mną leżała jeszcze cała przyszłość. Jakiż bezmiar doświadczeń, eksperymentów, odkryć otwierał się teraz! Sekret życia, jego najistotniejsza tajemnica sprowadzona do tej prostszej,

poręczniejszej i zabawkowej formy odsłaniała się tu nienasyconej ciekawości. Było to nadwyraz interesujące, mieć na własność taką odrobinkę życia, taką cząsteczkę wieczystej tajemnicy, w postaci tak zabawnej i nowej, budzącej nieskończoną ciekawość i respekt sekretny swą obcością, niespodzianą transpozycją tego samego wątku życia, który i w nas był, na formę od naszej odmienną, zwierzęcą.

Zwierzęta! cel nienasyconej ciekawości, egzemplifikacje zagadki życia, jakby stworzone po to, by człowiekowi pokazać człowieka, rozkładając jego bogactwo i komplikację na tysiąc kalejdoskopowych możliwości, każdą doprowadzoną do jakiegoś paradoksalnego krańca, do jakiejś wybujałości pełnej charakteru. Nieobciążone splotem egzotycznych interesów, mącących stosunki międzyludzkie, otwierało się serce pełne sympatii dla obcych emanacji wiecznego życia, pełne miłosnej współpracującej ciekawości, która była zamaskowanym głosem samopoznania.

Piesek był aksamitny, ciepły i pulsujący małym, pospiesznym sercem. Miał dwa miękkie płatki uszu, niebieskawe, mętne oczka, różowy pyszczek, do którego można było włożyć palec bez żadnego niebezpieczeństwa, łapki delikatne i niewinne, z wzruszającą, różową brodaweczką z tyłu, nad stopami przednich nóg. Właził nimi do miski z mlekiem, żarłoczny i niecierpliwy, chłepcący napój różowym języczkiem, ażeby po nasyceniu się podnieść żałośnie małą mordkę z kroplą mleka na brodzie i wycofać się niedołężnie z kąpieli mlecznej.

Chód jego był niezgrabnym toczeniem się, bokiem na ukos w niezdecydowanym kierunku, po linii trochę pijanej i chwiejnej. Dominantą jego nastroju była jakaś nieokreślona i zasadnicza żałość, sieroctwo i bezradność – niezdolność do zapełnienia czymś pustki życia pomiędzy sensacjami posiłków. Objawiało się to

bezplanowością i niekonsekwencją ruchów, irracjonalnymi napadami nostalgii z żałosnym skomleniem i niemożnością znalezienia sobie miejsca. Nawet jeszcze w głębi snu, w którym potrzebę oparcia się i przytulenia zaspokajać musiał używając do tego własnej swej osoby, zwiniętej w kłębek drżący – towarzyszyło mu poczucie osamotnienia i bezdomności. Ach, życie – młode i wątłe życie, wypuszczone z zaufanej ciemności, z przytulnego ciepła łona macierzystego w wielki i obcy, świetlany świat, jakże kurczy się ono i cofa, jak wzdraga się zaakceptować tę imprezę, którą mu proponują – pełne awersji i zniechęcenia!

Lecz zwolna mały Nemrod (otrzymał był to dumne i wojownicze imię) zaczyna smakować w życiu. Wyłączne opanowanie obrazem macierzystej prajedni ustępuje urokowi wielości.

Świat zaczyna nań nastawiać pułapki: nieznany a czarujący smak różnych pokarmów, czworobok porannego słońca na podłodze, na którym tak dobrze jest położyć się, ruchy własnych członków, własne łapki, ogonek, figlarnie wyzywający do zabawy z samym sobą, pieszczoty ręki ludzkiej, pod którymi zwolna dojrzewa pewna swawolność, wesołość rozpierająca ciało i rodząca potrzebę zgoła nowych, gwałtownych i ryzykownych ruchów – wszystko to przekupuje, przekonywa i zachęca do przyjęcia, do pogodzenia się z eksperymentem życia.

I jeszcze jedno. Nemrod zaczyna rozumieć, że to, co mu się tu podsuwa, mimo pozorów nowości jest w gruncie rzeczy czymś, co już było – było wiele razy – nieskończenie wiele razy. Jego ciało poznaje sytuacje, wrażenia i przedmioty. W gruncie rzeczy to wszystko nie dziwi go zbytnio. W obliczu każdej nowej sytuacji daje nura w swoją pamięć, w głęboką pamięć ciała, i szuka omackiem, gorączkowo – i bywa, że znajduje w sobie odpowiednią reakcję już gotową: mądrość pokoleń, złożoną w jego plazmie,

w jego nerwach. Znajduje jakieś czyny, decyzje, o których sam nie wiedział, że już w nim dojrzały, że czekały na to, by wyskoczyć.

Sceneria jego młodego życia, kuchnia z wonnymi cebrami, ze ścierkami o skomplikowanej i intrygującej woni, z kłapaniem pantofli Adeli, z jej hałaśliwym krzątaniem się – nie straszy go więcej. Przywykł uważać ją za swoją domenę, zadomowił się w niej i począł rozwijać w stosunku do niej niejasne poczucie przynależności, ojczyzny.

Chyba że niespodzianie spadał nań kataklizm w postaci szorowania podłogi – obalenie praw natury, chlusty ciepłego ługu, podmywające wszystkie meble, i groźny szurgot szczotek Adeli.

Ale niebezpieczeństwo mija, szczotka uspokojona i nieruchoma leży cicho w kącie, schnąca podłoga pachnie miło mokrym drzewem. Nemrod, przywrócony znowu do swych normalnych praw i do swobody na terenie własnym, czuje żywą ochotę chwytać zębami stary koc na podłodze i targać nim z całej siły na prawo i lewo. Pacyfikacja żywiołów napełnia go niewymowną radością.

Wtem staje jak wryty: przed nim, o jakie trzy kroki pieskie, posuwa się czarna maszkara, potwór sunący szybko na pręcikach wielu pogmatwanych nóg. Do głębi wstrząśnięty Nemrod posuwa wzrokiem za skośnym kursem błyszczącego owada, śledząc w napięciu ten płaski, bezgłowy i ślepy kadłub, niesiony niesamowitą ruchliwością pajęczych nóg.

Coś w nim na ten widok wzbiera, coś dojrzewa, pęcznieje, czego sam jeszcze nie rozumie, niby jakiś gniew albo strach, lecz raczej przyjemny i połączony z dreszczem siły, samopoczucia, agresywności.

I nagle opada na przednie łapki i wyrzuca z siebie głos, jeszcze jemu samemu nie znany, obcy, całkiem niepodobny do zwykłego

kwilenia.

Wyrzuca go z siebie raz, i jeszcze raz, i jeszcze, cienkim dyszkantem, który się co chwila wykoleja.

Ale nadaremnie apostrofuje owada w tym nowym, z nagłego natchnienia zrodzonym języku. W kategoriach umysłu karakoniego nie ma miejsca na tę tyradę i owad odbywa dalej swą skośną turę ku kątowi pokoju, wśród ruchów uświęconych odwiecznym karakonim rytuałem.

Wszelako uczucia nienawiści nie mają jeszcze trwałości i mocy w duszy pieska. Nowoobudzona radość życia przeistacza każde uczucie w wesołość. Nemrod szczeka jeszcze, lecz sens tego szczekania zmienił się niepostrzeżenie, stało się ono swoją własną parodią – pragnąc w gruncie rzeczy wysłowić niewymowną udatność tej świetnej imprezy życia, pełnej pikanterii, niespodzianych dreszczyków i point.

Pan

W kącie między tylnymi ścianami szop i przybudówek był zaułek podwórza, najdalsza, ostatnia odnoga, zamknięta między komorę, wychodek i tylną ścianę kurnika – głucha zatoka, poza którą nie było już wyjścia.

Był to najdalszy przylądek, Gibraltar tego podwórza, bijący rozpaczliwie głową w ślepy parkan z poziomych desek, zamykającą i ostateczną ścianę tego świata.

Spod jego omszonych dyli wyciekała strużka czarnej, śmierdzącej wody, żyła gnijącego, tłustego błota, nigdy niewysychająca – jedyna droga, która poprzez granice parkanu wyprowadzała w świat. Ale rozpacz smrodliwego zaułka tak długo biła głową w tę zaporę, aż rozluźniła jedną z poziomych, potężnych desek. My, chłopcy, dokonaliśmy reszty i wyważyli, wysunęli ciężką omszałą deskę z osady. Tak zrobiliśmy wyłom, otworzyliśmy okno na słońce. Stanąwszy nogą na desce, rzuconej jak most przez kałużę, mógł więzień podwórza w poziomej pozycji przecisnąć się przez szparę, która wypuszczała go w nowy, przewiewny i rozległy świat. Był tam wielki, zdziczały stary ogród. Wysokie grusze, rozłożyste jabłonie rosły tu z rzadka potężnymi grupami, obsypane srebrnym szelestem, kipiącą siatką białawych połysków. Bujna, zmieszana, niekoszona trawa pokrywała puszystym kożuchem falisty teren. Były tam zwykłe, trawiaste źdźbła łąkowe z pierzastymi kitami kłosów; były delikatne filigrany dzikich pietruszek i marchwi; pomarszczone i szorstkie listki bluszczyków i ślepych pokrzyw, pachnące miętą; łykowate, błyszczące babki, nakrapiane rdzą,

wystrzelające kiśćmi grubej, czerwonej kaszy. Wszystko to, splątane i puszyste, przepojone było łagodnym powietrzem, podbite błękitnym wiatrem i napuszczone niebem. Gdy się leżało w trawie, było się przykrytym całą błękitną geografią obłoków i płynących kontynentów, oddychało się całą rozległą mapą niebios. Od tego obcowania z powietrzem liście i pędy pokryły się delikatnymi włoskami, miękkim nalotem puchu, szorstką szczeciną haczków, jak gdyby dla chwytania i zatrzymywania przepływów tlenu. Ten nalot delikatny i białawy spokrewniał liście z atmosferą, dawał im srebrzysty, szary połysk fal powietrznych, cienistych zadumań między dwoma błyskami słońca. A jedna z tych roślin, żółta i pełna mlecznego soku w bladych łodygach, nadęta powietrzem, pędziła ze swych pustych pędów już samo powietrze, sam puch w kształcie pierzastych kul mleczowych rozsypywanych przez powiew i wsiąkających bezgłośnie w błękitną ciszę.

Ogród był rozległy i rozgałęziony kilku odnogami i miał różne strefy i klimaty. W jednej stronie był otwarty, pełen mleka niebios i powietrza, i tam podścielał niebu co najmiększą, najdelikatniejszą, najpuszystszą zieleń. Ale w miarę jak opadał w głąb długiej odnogi i zanurzał się w cień między tylną ścianę opuszczonej fabryki wody sodowej, wyraźnie pochmurniał, stawał się opryskliwy i niedbały, zapuszczał się dziko i niechlujnie, srożył się pokrzywami, zjeżał bodiakami, parszywiał chwastem wszelkim, aż w samym końcu między ścianami, w szerokiej prostokątnej zatoce tracił wszelką miarę i wpadał w szał. Tam to nie był już sad, tylko paroksyzm szaleństwa, wybuch wściekłości, cyniczny bezwstyd i rozpusta. Tam, rozbestwione, dając upust swej pasji, panoszyły się puste, zdziczałe kapusty łopuchów – ogromne wiedźmy, rozdziewające się w biały dzień ze swych szerokich spódnic, zrzucając je z siebie, spódnica za spódnicą, aż ich wzdęte, szelestne, dziurawe łachmany oszalałymi

płatami grzebały pod sobą kłótliwe to plemię bękarcie. A żarłoczne spódnice puchły i rozpychały się, piętrzyły się jedne na drugich, rozpierały i nakrywały wzajem, rosnąc razem wzdętą masą blach listnych, aż pod niski okap stodoły.

Tam to było, gdziem go ujrzał jedyny raz w życiu, o nieprzytomnej od żaru godzinie południa. Była to chwila, kiedy czas, oszalały i dziki, wyłamuje się z kieratu zdarzeń i jak zbiegły włóczęga pędzi z krzykiem na przełaj przez pola. Wtedy lato, pozbawione kontroli, rośnie bez miary i rachuby na całej przestrzeni, rośnie z dzikim impetem na wszystkich punktach, w dwójnasób, w trójnasób, w inny jakiś, wyrodny czas, w nieznaną dymensję, w obłęd.

O tej godzinie opanowywał mnie szał łowienia motyli, pasja ścigania tych migocących plamek, tych błędnych, białych płatków, trzęsących się w rozognionym powietrzu niedołężnym gzygzakiem. I zdarzyło się wówczas, że któraś z tych jaskrawych plamek rozpadła się w locie na dwie, potem na trzy – i ten drgający, oślepiająco biały trójpunkt wiódł mnie, jak błędny ognik, przez szał bodiaków, palących się w słońcu.

Dopiero na granicy łopuchów zatrzymałem się, nie śmiejąc się pogrążyć w to głuche zapadlisko.

Wtedy nagle ujrzałem go.

Zanurzony po pachy w łopuchach, kucał przede mną.

Widziałem jego grube bary w brudnej koszuli i niechlujny strzęp surduta. Przyczajony jak do skoku, siedział tak – z barami jakby wielkim ciężarem zgarbionymi. Ciało jego dyszało z natężenia, a z miedzianej, błyszczącej w słońcu twarzy lał się pot. Nieruchomy, zdawał się ciężko pracować, mocować się bez ruchu z jakimś ogromnym brzemieniem.

Stałem, przygwożdżony jego wzrokiem, który mnie ujął jakby w kleszcze.

Była to twarz włóczęgi lub pijaka. Wiecheć brudnych kłaków wichrzył się nad czołem wysokim i wypukłym jak buła kamienna, utoczona przez rzekę. Ale czoło to było skręcone w głębokie bruzdy. Nie wiadomo, czy ból, czy palący żar słońca, czy nadludzkie natężenie wkręciło się tak w tę twarz i napięło rysy do pęknięcia. Czarne oczy wbiły się we mnie z natężeniem najwyższej rozpaczy czy bólu. Te oczy patrzyły na mnie i nie patrzyły, widziały mnie i nie widziały wcale. Były to pękające gałki, wytężone najwyższym uniesieniem bólu albo dziką rozkoszą natchnienia.

I nagle z tych rysów, naciągniętych do pęknięcia, wyboczył się jakiś straszny, załamany cierpieniem grymas i ten grymas rósł, brał w siebie tamten obłęd i natchnienie, pęczniał nim, wybaczał się coraz bardziej, aż wyłamał się ryczącym, charczącym kaszlem śmiechu.

Do głębi wstrząśnięty, widziałem, jak hucząc śmiechem z potężnych piersi, dźwignął się powoli z kucek i zgarbiony jak goryl, z rękoma w opadających łachmanach spodni, uciekał, człapiąc przez łopocące blachy łopuchów, wielkimi skokami – Pan bez fletu, cofający się w popłochu do swych ojczystych kniei.

Pan Karol

Po południu w sobotę mój wuj, Karol, wdowiec słomiany, wybierał się pieszo do letniska, oddalonego o godzinę drogi od miasta, do żony i dzieci, które tam na wywczasach bawiły.

Od czasu wyjazdu żony mieszkanie było niesprzątane, łóżko niezaścielane nigdy. Pan Karol przychodził do mieszkania późną nocą, sponiewierany, spustoszony przez nocne pohulanki, przez które go wlokły te dni upalne i puste. Zmięta, chłodna, dziko rozrzucona pościel była dlań wówczas jakąś błogą przystanią, wyspą zbawczą, do której przypadał ostatkiem sił jak rozbitek, miotany wiele dni i nocy przez wzburzone morze.

Omackiem, w ciemności zapadał się gdzieś między białawe chmury, pasma i zwały chłodnego pierza i spał tak w niewiadomym kierunku, na wspak, głową na dół, wbity ciemieniem w puszysty miąższ pościeli, jak gdyby chciał we śnie przewiercić, przewędrować na wskroś te rosnące nocą, potężne masywy pierzyn. Walczył we śnie z tą pościelą, jak pływak z wodą, ugniatał ją i miesił ciałem, jak ogromną dzieżę ciasta, w którą się zapadał, i budził się o szarym świcie zdyszany, oblany potem, wyrzucony na brzeg tego stosu pościeli, którego zmóc nie mógł w ciężkich zapasach nocnych. Tak na wpół wyrzucony z toni snu, wisiał przez chwilę nieprzytomny na krawędzi nocy, chwytając piersiami powietrze, a pościel rosła dokoła niego, puchła i nakisała – i zarastała go znowu zwałem ciężkiego, białawego ciasta.

Spał tak do późnego przedpołudnia, podczas gdy poduszki układały się w wielką, białą, płaską równinę, po której wędrował

uspokojony sen jego. Tymi białymi gościńcami powracał powoli do siebie, do dnia, do jawy – i wreszcie otwierał oczy, jak śpiący pasażer, gdy pociąg zatrzymuje się na stacji.

W pokoju panował odstały półmrok z osadem wielu dni samotności i ciszy. Tylko okno kipiało od rannego rojowiska much i story płonęły jaskrawo. Pan Karol wyziewał ze swego ciała, z głębi jam cielesnych, resztki dnia wczorajszego. To ziewanie chwytało go tak konwulsyjnie, jak gdyby chciało go odwrócić na nice. Tak wyrzucał z siebie ten piasek, te ciężary – niestrawione restancje dnia wczorajszego.

Ulżywszy sobie w ten sposób, i swobodniejszy, wciągał do notesu wydatki, kalkulował, obliczał i marzył. Potem leżał długo nieruchomy, z szklanymi oczyma, które były koloru wody, wypukłe i wilgotne. W wodnistym półmroku pokoju, rozjaśnionym refleksem dnia upalnego za storami, oczy jego jak maleńkie lusterka odbijały wszystkie błyszczące przedmioty: białe plamy słońca w szparach okna, złoty prostokąt stor, i powtarzały, jak kropla wody, cały pokój z ciszą dywanów i pustych krzeseł.

Tymczasem dzień za storami huczał coraz płomienniej bzykaniem much oszalałych od słońca. Okno nie mogło pomieścić tego białego pożaru i story omdlewały od jasnych falowań.

Wtedy wywlekał się z pościeli i siedział jeszcze jakiś czas na łóżku, stękając bezwiednie. Jego trzydziestokilkoletnie ciało zaczynało skłaniać się do korpulencji. W tym organizmie, nabrzmiewającym tłuszczem, znękanym od nadużyć płciowych, ale wciąż wzbierającym bujnymi sokami, zdawał się teraz zwolna dojrzewać w tej ciszy jego przyszły los.

Gdy tak siedział w bezmyślnym, wegetatywnym osłupieniu, cały zamieniony w krążenie, w respirację, w głębokie pulsowanie soków, rosła w głębi jego ciała, spoconego i pokrytego włosem

w rozlicznych miejscach, jakaś niewiadoma, niesformułowana przyszłość, niby potworna narośl, wyrastająca fantastycznie w nieznaną dymensję. Nie przerażał się jej, gdyż czuł już swoją tożsamość z tym niewiadomym a ogromnym, które miało nadejść, i rósł razem z nim bez sprzeciwu, w dziwnej zgodzie, zdrętwiały spokojną grozą, odpoznając przyszłego siebie w tych kolosalnych wykwitach, w tych fantastycznych spiętrzeniach, które przed jego wzrokiem wewnętrznym dojrzewały. Jedno jego oko lekko wtedy zbaczało na zewnątrz, jak gdyby odchodziło w inny wymiar.

Potem z tych bezmyślnych otumanieni z tych zatraconych dali powracał znów do siebie i do chwili; widział swe stopy na dywanie, tłuste i delikatne jak u kobiety, i powoli wyjmował złote spinki z mankietów dziennej koszuli. Potem szedł do kuchni i znajdował tam w cienistym kącie wiaderko z wodą, krążek cichego, czujnego zwierciadła, które nań tam czekało – jedyna żywa i wiedząca istota w tym pustym mieszkaniu. Nalewał do miednicy wody i kosztował skórą jej młodej i odstałej, słodkawej mokrości.

Długo i starannie robił toaletę, nie spiesząc się i włączając pauzy między poszczególne manipulacje.

To mieszkanie, puste i zapuszczone, nie uznawało go, te meble i ściany śledziły za nim z milczącą krytyką.

Czuł się, wchodząc w ich ciszę, jak intruz w tym podwodnym, zatopionym królestwie, w którym płynął inny, odrębny czas.

Otwierając własne szuflady, miał uczucie złodzieja i chodził mimo woli na palcach, bojąc się obudzić hałaśliwe i nadmierne echo, czekające drażliwie na najlżejszą przyczynę, by wybuchnąć.

A gdy wreszcie, idąc cicho od szafy do szafy, znajdował kawałek po kawałku wszystko potrzebne i kończył toaletę wśród tych mebli, które tolerowały go w milczeniu, z nieobecną miną, i wreszcie był gotów, to stojąc na odejściu z kapeluszem w ręku, czuł się

zażenowany, że i w ostatniej chwili nie mógł znaleźć słowa, które by rozwiązało to wrogie milczenie, i odchodził ku drzwiom zrezygnowany, zwolna, ze spuszczoną głową – gdy w przeciwną stronę oddalał się tymczasem bez pośpiechu – w głąb zwierciadła – ktoś odwrócony na zawsze plecami – przez pustą amfiladę pokojów, które nie istniały.

Sklepy cynamonowe

W okresie najkrótszych, sennych dni zimowych, ujętych z obu stron, od poranku i od wieczora, w futrzane krawędzie zmierzchów, gdy miasto rozgałęziało się coraz głębiej w labirynty zimowych nocy, z trudem przywoływane przez krótki świt do opamiętania, do powrotu – ojciec mój był już zatracony, zaprzedany, zaprzysiężony tamtej sferze.

Twarz jego i głowa zarastały wówczas bujnie i dziko siwym włosem, sterczącym nieregularnie wiechciami, szczecinami, długimi pędzlami, strzelającymi z brodawek, z brwi, z dziurek od nosa – co nadawało jego fizjonomii wygląd starego, nastroszonego lisa.

Węch jego i słuch zaostrzał się niepomiernie i znać było po grze jego milczącej i napiętej twarzy, że za pośrednictwem tych zmysłów pozostaje on w ciągłym kontakcie z niewidzialnym światem ciemnych zakamarków, dziur mysich, zmurszałych przestrzeni pustych pod podłogą i kanałów kominowych.

Wszystkie chroboty, trzaski nocne, tajne, skrzypiące życie podłogi miały w nim nieomylnego i czujnego dostrzegacza, szpiega i współspiskowca. Absorbowało go to w tym stopniu, że pogrążał się zupełnie w tej niedostępnej dla nas sferze, z której nie próbował zdawać nam sprawy.

Nieraz musiał strzepywać palcami i śmiać się cicho do siebie samego, gdy te wybryki niewidzialnej sfery stawały się zbyt absurdalne; porozumiewał się wówczas spojrzeniem z naszym kotem, który również wtajemniczony w ten świat, podnosił swą

cyniczną, zimną, porysowaną pręgami twarz, mrużąc z nudów i obojętności skośne szparki oczu.

Zdarzało się podczas obiadu, że wśród jedzenia odkładał nagle nóż i widelec i z serwetą zawiązaną pod szyją podnosił się kocim ruchem, skradał na brzuścach palców do drzwi sąsiedniego, pustego pokoju i z największą ostrożnością zaglądał przez dziurkę od klucza. Potem wracał do stołu, jakby zawstydzony, z zakłopotanym uśmiechem, wśród mruknięć i niewyraźnych mamrotań, odnoszących się do wewnętrznego monologu, w którym był pogrążony.

Ażeby mu sprawić pewną dystrakcję i oderwać go od chorobliwych dociekań, wyciągała go matka na wieczorne spacery, na które szedł, milcząc, bez oporu, ale i bez przekonania, roztargniony i nieobecny duchem. Raz nawet poszliśmy do teatru.

Znaleźliśmy się znowu w tej wielkiej, źle oświetlonej i brudnej sali, pełnej sennego gwaru ludzkiego i bezładnego zamętu. Ale gdy przebrnęliśmy przez ciżbę ludzką, wynurzyła się przed nami olbrzymia bladomebieska kurtyna, jak niebo jakiegoś innego firmamentu. Wielkie, malowane maski różowe, z wydętymi policzkami, nurzały się w ogromnym płóciennym przestworzu. To sztuczne niebo szerzyło się i płynęło wzdłuż i w poprzek, wzbierając ogromnym tchem patosu i wielkich gestów, atmosferą tego świata sztucznego i pełnego blasku, który budował się tam, na dudniących rusztowaniach sceny. Dreszcz płynący przez wielkie oblicze tego nieba, oddech ogromnego płótna, od którego rosły i ożywały maski, zdradzał iluzoryczność tego firmamentu, sprawiał to drganie rzeczywistości, które w chwilach metafizycznych odczuwamy jako migotanie tajemnicy.

Maski trzepotały czerwonymi powiekami, kolorowe wargi szeptały coś bezgłośnie i wiedziałem, że przyjdzie chwila, kiedy

napięcie tajemnicy dojdzie do zenitu i wtedy wezbrane niebo kurtyny pęknie naprawdę, uniesie się i ukaże rzeczy niesłychane i olśniewające.

Lecz nie było mi dane doczekać tej chwili, albowiem tymczasem ojciec zaczął zdradzać pewne oznaki zaniepokojenia, chwytał się za kieszenie i wreszcie oświadczył, że zapomniał portfelu z pieniędzmi i ważnymi dokumentami.

Po krótkiej naradzie z matką, w której uczciwość Adeli została poddana pospiesznej, ryczałtowej ocenie, zaproponowano mi, żebym wyruszył do domu na poszukiwanie portfelu. Zdaniem matki do rozpoczęcia widowiska było jeszcze wiele czasu i przy mojej zwinności mogłem na czas powrócić.

Wyszedłem w noc zimową, kolorową od iluminacji nieba. Była to jedna z tych jasnych nocy, w których firmament gwiezdny jest tak rozległy i rozgałęziony, jakby rozpadł się, rozłamał i podzielił na labirynt odrębnych niebios, wystarczających do obdzielenia całego miesiąca nocy zimowych i do nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kloszami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygód, awantur i karnawałów.

Jest lekkomyślnością nie do darowania wysyłać w taką noc młodego chłopca z misją ważną i pilną, albowiem w jej półświetle zwielokrotniają się, plączą i wymieniają jedne z drugimi ulice. Otwierają się w głębi miasta, żeby tak rzec, ulice podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraźnia wytwarza złudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w których te ulice mają swe miejsce i nazwę, a noc w niewyczerpanej swej płodności nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczać wciąż nowych i urojonych konfiguracji. Te kuszenia nocy zimowych zaczynają się zazwyczaj niewinnie od chętki skrócenia sobie drogi, użycia niezwykłego lub prędszego przejścia.

Powstają ponętne kombinacje przecięcia zawiłej wędrówki jakąś niewypróbowaną przecznicą. Ale tym razem zaczęło się inaczej.

Uszedłszy parę kroków, spostrzegłem, że jestem bez płaszcza. Chciałem zawrócić, lecz po chwili wydało mi się to niepotrzebną stratą czasu, gdyż noc nie była wcale zimna, przeciwnie – pożyłkowana strugami dziwnego ciepła, tchnieniami jakiejś fałszywej wiosny. Śnieg skurczył się w baranki białe, w niewinne i słodkie runo, które pachniało fiołkami. W takie same baranki rozpuściło się niebo, w którym księżyc dwoił się i troił, demonstrując w tym zwielokrotnieniu wszystkie swe fazy i pozycje.

Niebo obnażało tego dnia wewnętrzną swą konstrukcję w wielu jakby anatomicznych preparatach, pokazujących spirale i słoje światła, przekroje seledynowych brył nocy, plazmę przestworzy, tkankę rojeń nocnych.

W taką noc nie podobna iść Podwalem ani żadną inną z ciemnych ulic, które są odwrotną stroną, niejako podszewką czterech linij rynku, i nie przypomnieć sobie, że o tej późnej porze bywają czasem jeszcze otwarte niektóre z owych osobliwych a tyle nęcących sklepów, o których zapomina się w dnie zwyczajne. Nazywam je sklepami cynamonowymi dla ciemnych boazeryj tej barwy, którymi są wyłożone.

Te prawdziwie szlachetne handle, w późną noc otwarte, były zawsze przedmiotem moich gorących marzeń.

Słabo oświetlone, ciemne i uroczyste ich wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku, kadzidła, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów. Mogłeś tam znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliszki, korzeń Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunculusy

w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty pełne przedziwnych rycin i oszołamiających historyj.

Pamiętam tych starych i pełnych godności kupców, którzy obsługiwali klientów ze spuszczonymi oczyma, w dyskretnym milczeniu, i pełni byli mądrości i wyrozumienia dla ich najtajniejszych życzeń. Ale nade wszystko była tam jedna księgarnia, w której raz oglądałem rzadkie i zakazane druki, publikacje tajnych klubów, zdejmując zasłonę z tajemnic dręczących i upojnych.

Tak rzadko zdarzała się sposobność odwiedzania tych sklepów – i w dodatku z małą, lecz wystarczającą sumą pieniędzy w kieszeni. Nie można było pominąć tej okazji mimo ważności misji powierzonej naszej gorliwości.

Trzeba się było zapuścić według mego obliczenia w boczną uliczkę, minąć dwie albo trzy przecznice, ażeby osiągnąć ulicę nocnych sklepów. To oddalało mnie od celu, ale można było nadrobić spóźnienie, wracając drogą na Żupy Solne.

Uskrzydlony pragnieniem zwiedzenia sklepów cynamonowych, skręciłem w wiadomą mi ulicę i leciałem więcej, aniżeli szedłem, bacząc, by nie zmylić drogi. Tak minąłem już trzecią czy czwartą przecznicę, a upragnionej ulicy wciąż nie było. W dodatku nawet konfiguracja ulic nie odpowiadała oczekiwanemu obrazowi. Sklepów ani śladu. Szedłem ulicą, której domy nie miały nigdzie bramy wchodowej, tylko okna szczelnie zamknięte, ślepe odblaskiem księżyca. Po drugiej stronie tych domów musi prowadzić właściwa ulica, od której te domy są dostępne – myślałem sobie. Z niepokojem przyspieszałem kroku, rezygnując w duchu z myśli zwiedzenia sklepów. Byle tylko wydostać się stąd prędko w znane okolice miasta. Zbliżałem się do wylotu, pełen

niepokoju, gdzie też ona mnie wyprowadzi. Wyszedłem na szeroki, rzadko zabudowany gościniec, bardzo długi i prosty. Owiał mnie od razu oddech szerokiej przestrzeni. Stały tam przy ulicy albo w głębi ogrodów malownicze wille, ozdobne budynki bogaczy. W przerwach między nimi widniały parki i mury sadów. Obraz przypominał z daleka ulicę Leszniańską w jej dolnych i rzadko zwiedzanych okolicach. Światło księżyca, rozpuszczone w tysiącznych barankach, w łuskach srebrnych na niebie, było blade i tak jasne jak w dzień – tylko parki i ogrody czerniały w tym srebrnym krajobrazie.

Przyjrzawszy się bacznie jednemu z budynków, doszedłem do przekonania, że mam przed sobą tylną i nigdy niewidzianą stronę gmachu gimnazjalnego. Właśnie dochodziłem do bramy, która ku memu zdziwieniu była otwarta, sień oświetlona. Wszedłem i znalazłem się na czerwonym chodniku korytarza. Miałem nadzieję, że zdołam niespostrzeżony przekraść się przez budynek i wyjść przednią bramą, skracając sobie znakomicie drogę.

Przypomniałem sobie, że o tej późnej godzinie musi się w sali profesora Arendta odbywać jedna z lekcyj nadobowiązkowych, prowadzona w późną noc, na które zbieraliśmy się zimową porą, płonąc szlachetnym zapałem do ćwiczeń rysunkowych, jakim natchnął nas ten znakomity nauczyciel.

Mała gromadka pilnych gubiła się prawie w wielkiej ciemnej sali, na której ścianach ogromniały i łamały się cienie naszych głów, rzucane od dwóch małych świeczek płonących w szyjkach butelek.

Prawdę mówiąc, niewieleśmy podczas tych godzin rysowali i profesor nie stawiał zbyt ścisłych wymagań. Niektórzy przynosili sobie z domu poduszki i układali się na ławkach do powierzchownej drzemki. I tylko najpilniejsi rysowali pod samą świecą, w złotym kręgu jej blasku.

Czekaliśmy zazwyczaj długo na przyjście profesora, nudząc się wśród sennych rozmów. Wreszcie otwierały się drzwi jego pokoju i wchodził – mały, z piękną brodą, pełen ezoterycznych uśmiechów, dyskretnych przemilczeń i aromatu tajemnicy. Szybko zaciskał za sobą drzwi gabinetu, przez które w momencie otworzenia tłoczyła się za jego głową ciżba gipsowych cieni, fragmentów klasycznych, bolesnych Niobid, Danaid i Tantalidów, cały smutny i jałowy Olimp, więdnący od lat w tym muzeum gipsów. Zmierzch tego pokoju mętniał i za dnia i przelewał się sennie od gipsowych marzeń, pustych spojrzeń, blednących owali i zamyśleń odchodzących w nicość. Lubiliśmy nieraz podsłuchiwać pod drzwiami – ciszy, pełnej westchnień i szeptów tego kruszejącego w pajęczynach rumowiska, tego rozkładającego się w nudzie i monotonii zmierzchu bogów.

Profesor przechadzał się dostojnie, pełen namaszczenia, wzdłuż pustych ławek, wśród których rozrzuceni małymi grupkami, rysowaliśmy coś w szarym odblasku nocy zimowej. Było zacisznie i sennie. Gdzieniegdzie koledzy moi układali się do snu. Świeczki powoli dogasały w butelkach. Profesor pogrążał się w głęboką witrynę, pełną starych foliałów, staromodnych ilustracyj, sztychów i druków. Pokazywał nam wśród ezoterycznych gestów stare litografie wieczornych pejzaży, gęstwiny nocne, aleje zimowych parków, czerniejące na białych drogach księżycowych.

Wśród sennych rozmów upływał niespostrzeżenie czas i biegł nierównomiernie, robiąc niejako węzły w upływie godzin, połykając kędyś całe puste interwały trwania. Niespostrzeżenie, bez przejścia, odnajdywaliśmy naszą czeredę już w drodze powrotnej na białej od śniegu ścieżce szpaleru, flankowanej czarną, suchą gęstwiną krzaków. Szliśmy wzdłuż tego włochatego brzegu ciemności, ocierając się o niedźwiedzie futro krzaków, trzaskających

pod naszymi nogami w jasną noc bezksiężycową, w mleczny, fałszywy dzień, daleko po północy. Rozprószona biel tego światła, mżąca ze śniegu, z bladego powietrza, z mlecznych przestworzy, była jak szary papier sztychu, na którym głęboką czernią plątały się kreski i szrafirunki gęstych zarośli. Noc powtarzała teraz głęboko po północy te serie nokturnów, sztychów nocnych profesora Arendta, kontynuowała jego fantazje.

W tej czarnej gęstwinie parku, we włochatej sierści zarośli, w masie kruchego chrustu były miejscami nisze, gniazda najgłębszej puszystej czarności, pełne plątaniny, sekretnych gestów, bezładnej rozmowy na migi. Było w tych gniazdach zacisznie i ciepło. Siadaliśmy tam na letnim miękkim śniegu w naszych włochatych płaszczach, zajadając orzechy, których pełna była leszczynowa ta gęstwina w ową wiosenną zimę. Przez zarośla przewijały się bezgłośnie kuny, łasice i ichneumony, futrzane, węszące zwierzątka, śmierdzące kożuchem, wydłużone, na niskich łapkach. Podejrzewaliśmy, że były między nimi okazy gabinetu szkolnego, które choć wypatroszone i łysiejące, uczuwały w tę białą noc w swym pustym wnętrzu głos starego instynktu, głos rui, i wracały do matecznika na krótki, złudny żywot.

Ale powoli fosforescencja wiosennego śniegu mętniała i gasła i nadchodziła czarna i gęsta oćma przed świtem. Niektórzy z nas zasypiali w ciepłym śniegu, inni domacywali się w gęstwinie bram swych domów, wchodzili omackiem do ciemnych wnętrzy, w sen rodziców i braci, w dalszy ciąg głębokiego chrapania, które doganiali na swych spóźnionych drogach.

Te nocne seanse pełne były dla mnie tajemnego uroku, nie mogłem i teraz pominąć sposobności, by nie zaglądnąć na moment do sali rysunkowej, postanawiając, że nie pozwolę się tam zatrzymać dłużej nad krótką chwilkę. Ale wstępując po tylnych,

cedrowych schodach, pełnych dźwięcznego rezonansu, poznałem, że znajduję się w obcej, nigdy niewidzianej stronie gmachu.

Najlżejszy szmer nie przerywał tu solennej ciszy. Korytarze były w tym skrzydle obszerniejsze, wysłane pluszowym dywanem i pełne wytworności. Małe, ciemno płonące lampy świeciły na ich zagięciach. Minąwszy jedno takie kolano, znalazłem się na korytarzu jeszcze większym, strojnym w przepych pałacowy. Jedna jego ściana otwierała się szerokimi, szklanymi arkadami do wnętrza mieszkania. Zaczynała się tu przed oczyma długa amfilada pokojów, biegnących w głąb i urządzonych z olśniewającą wspaniałością. Szpalerem obić jedwabnych, luster złoconych, kosztownych mebli i kryształowych pająków biegł wzrok w puszysty miąższ tych zbytkownych wnętrzy, pełnych kolorowego wirowania i migotliwych arabesek, plączących się girland i pączkujących kwiatów. Głęboka cisza tych pustych salonów pełna była tylko tajnych spojrzeń, które oddawały sobie zwierciadła, i popłochu arabesek, biegnących wysoko fryzami wzdłuż ścian i gubiących się w sztukateriach białych sufitów.

Z podziwem i czcią stałem przed tym przepychem, domyślałem się, że nocna moja eskapada zaprowadziła mnie niespodzianie w skrzydło dyrektora, przed jego prywatne mieszkanie. Stałem przygwożdżony ciekawością, z bijącym sercem, gotów do ucieczki za najlżejszym szmerem. Jakże mógłbym, przyłapany, usprawiedliwić to moje nocne szpiegowanie, moje zuchwałe wścibstwo? W którymś z głębokich pluszowych foteli mogła, niedostrzeżona i cicha, siedzieć córeczka dyrektora i podnieść nagle na mnie oczy znad książki – czarne, sybilińskie, spokojne oczy, których spojrzenia nikt z nas wytrzymać nie umiał. Ale cofnąć się w połowie drogi, nie dokonawszy powziętego planu, poczytałbym był sobie za tchórzostwo. Zresztą głęboka cisza panowała dookoła

w pełnych przepychu wnętrzach, oświetlonych przyćmionym światłem nie określonej pory. Przez arkady korytarza widziałem na drugim końcu wielkiego salonu duże, oszklone drzwi, prowadzące na taras. Było tak cicho wokoło, że nabrałem odwagi. Nie wydawało mi się to połączone ze zbyt wielkim ryzykiem, zejść z paru stopni, prowadzących do poziomu sali, w kilku susach przebiegnąć wielki, kosztowny dywan i znaleźć się na tarasie, z którego bez trudu dostać się mogłem na dobrze mi znaną ulicę.

Uczyniłem tak. Zeszedłszy na parkiety salonu, pod wielkie palmy, wystrzelające tam z wazonów aż do arabesek sufitu, spostrzegłem, że znajduję się już właściwie na gruncie neutralnym, gdyż salon nie miał wcale przedniej ściany. Był on rodzajem wielkiej loggii, łączącej się przy pomocy paru stopni z placem miejskim. Była to niejako odnoga tego placu i niektóre meble stały już na bruku. Zbiegłem z kilku kamiennych schodów i znalazłem się znów na ulicy.

Konstelacje stały już stromo na głowie, wszystkie gwiazdy przekręciły się na drugą stronę, ale księżyc, zagrzebany w pierzyny obłoczków, które rozświetlał swą niewidzialną obecnością, zdawał się mieć przed sobą jeszcze nieskończoną drogę i, zatopiony w swych zawiłych procederach niebieskich, nie myślał o świcie.

Na ulicy czerniało kilka dorożek, rozjechanych i rozklekotanych jak kalekie, drzemiące kraby czy karakony. Woźnica nachylił się z wysokiego kozła. Miał twarz drobną, czerwoną i dobroduszną. – Pojedziemy, paniczu? – zapytał. Powóz zadygotał we wszystkich stawach i przegubach swego wieloczłonkowego ciała i ruszył na lekkich obręczach.

Ale kto w taką noc powierza się kaprysom nieobliczalnego dorożkarza? Wśród klekotu szprych, wśród dudnienia pudła i budy nie mogłem porozumieć się z nim co do celu drogi.

Kiwał na wszystko niedbale i pobłażliwie głową i podśpiewywał sobie, jadąc drogą okrężną przez miasto.

Przed jakimś szynkiem stała grupa dorożkarzy, kiwając nań przyjaźnie rękami. Odpowiedział im coś radośnie, po czym nie zatrzymując pojazdu, rzucił mi lejce na kolana, spuścił się z kozła i przyłączył do gromady kolegów. Koń, stary mądry koń dorożkarski, oglądnął się pobieżnie i pojechał dalej jednostajnym, dorożkarskim kłusem. Właściwie koń ten budził zaufanie – wydawał się mądrzejszy od woźnicy. Ale powozić nie umiałem – trzeba się było zdać na jego wolę. Wjechaliśmy na podmiejską ulicę ujętą z obu stron w ogrody. Ogrody te przechodziły zwolna, w miarę posuwania się, w parki wielkodrzewne, a te w lasy.

Nie zapomnę nigdy tej jazdy świetlistej w najjaśniejszą noc zimową. Kolorowa mapa niebios wyogromniała w kopułę niezmierną, na której spiętrzyły się fantastyczne lądy, oceany i morza, porysowane liniami wirów i prądów gwiezdnych, świetlistymi liniami geografii niebieskiej. Powietrze stało się lekkie do oddychania i świetlane jak gaza srebrna. Pachniało fiołkami. Spod wełnianego jak białe karakuły śniegu wychylały się anemony drżące, z iskrą światła księżycowego w delikatnym kielichu. Las cały zdawał się iluminować tysiącznymi światłami, gwiazdami, które rzęsiście ronił grudniowy firmament. Powietrze dyszało jakąś tajną wiosną, niewypowiedzianą czystością śniegu i fiołków. Wjechaliśmy w teren pagórkowaty. Linie wzgórzy, włochatych nagimi rózgami drzew, podnosiły się jak błogie westchnienia w niebo. Ujrzałem na tych szczęśliwych zboczach całe grupy wędrowców, zbierających wśród mchu i krzaków opadłe i mokre od śniegu gwiazdy. Droga stała się stroma, koń poślizgiwał się i z trudem ciągnął pojazd, grający wszystkimi przegubami. Byłem szczęśliwy. Pierś moja wchłaniała tę błogą wiosnę powietrza,

świeżość gwiazd i śniegu. Przed piersią konia zbierał się wał białej piany śnieżnej, coraz wyższy i wyższy. Z trudem przekopywał się koń przez czystą i świeżą jego masę. Wreszcie ustał. Wyszedłem z dorożki. Dyszał ciężko ze zwieszoną głową. Przytuliłem jego łeb do piersi, w jego wielkich czarnych oczach lśniły łzy. Wtedy ujrzałem na jego brzuchu okrągłą czarną ranę. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? – szepnąłem ze łzami. – Drogi mój – to dla ciebie – rzekł i stał się bardzo mały, jak konik z drzewa. Opuściłem go. Czułem się dziwnie lekki i szczęśliwy. Zastanawiałem się, czy czekać na małą kolejkę lokalną, która tu zajeżdżała, czy też pieszo wrócić do miasta. Zacząłem schodzić stromą serpentyną wśród lasu, początkowo idąc krokiem lekkim, elastycznym, potem, nabierając rozpędu, przeszedłem w posuwisty szczęśliwy bieg, który zmienił się wnet w jazdę jak na nartach. Mogłem dowoli regulować szybkość, kierować jazdą przy pomocy lekkich zwrotów ciała.

W pobliżu miasta zahamowałem ten bieg tryumfalny, zmieniając go na przyzwoity krok spacerowy. Księżyc stał jeszcze ciągle wysoko. Transformacje nieba, metamorfozy jego wielokrotnych sklepień w coraz to kunsztowniejsze konfiguracje nie miały końca. Jak srebrne astrolabium otwierało niebo w tę noc czarodziejską mechanizm wnętrza i ukazywało w nieskończonych ewolucjach złocistą matematykę swych kół i trybów.

Na rynku spotkałem ludzi zażywających przechadzki. Wszyscy, oczarowani widowiskiem tej nocy, mieli twarze wzniesione i srebrne od magii nieba. Troska o portfel opuściła mnie zupełnie. Ojciec, pogrążony w swych dziwactwach, zapewne zapomniał już o zgubie, o matkę nie dbałem.

W taką noc, jedyną w roku, przychodzą szczęśliwe myśli, natchnienia, wieszcze tknięcia palca bożego. Pełen pomysłów i inspiracji, chciałem skierować się do domu, gdy zaszli mi drogę

koledzy z książkami pod pachą. Zbyt wcześnie wyszli do szkoły, obudzeni jasnością tej nocy, która nie chciała się skończyć.

Poszliśmy gromadą na spacer stromo spadającą ulicą, z której wiał powiew fiołków, niepewni, czy to jeszcze magia nocy srebrzyła się na śniegu, czy też świt już wstawał...

Ulica Krokodyli

Mój ojciec przechowywał w dolnej szufladzie swego głębokiego biurka starą i piękną mapę naszego miasta.

Był to cały wolumen in folio pergaminowych kart, które pierwotnie spojone skrawkami płótna, tworzyły ogromną mapę ścienną w kształcie panoramy z ptasiej perspektywy.

Zawieszona na ścianie, zajmowała niemal przestrzeń całego pokoju i otwierała daleki widok na całą dolinę Tyśmienicy, wijącej się falisto bladozłotą wstęgą, na całe pojezierze szeroko rozlanych moczarów i stawów, na pofałdowane przedgórza, ciągnące się ku południowi, naprzód z rzadka, potem coraz tłumniejszymi pasmami, szachownicą okrągławych wzgórzy, coraz mniejszych i coraz bledszych, w miarę jak odchodziły ku złotawej i dymnej mgle horyzontu. Z tej zwiędłej dali peryferii wynurzało się miasto i rosło ku przodowi, naprzód jeszcze w niezróżnicowanych kompleksach, w zwartych blokach i masach domów, poprzecinanych głębokimi parowami ulic, by bliżej jeszcze wyodrębnić się w pojedyncze kamienice, sztychowane z ostrą wyrazistością widoków oglądanych przez lunetę. Na tych bliższych planach wydobył sztycharz cały zawikłany i wieloraki zgiełk ulic i zaułków, ostrą wyrazistość gzymsów, architrawów, archiwolt i pilastrów, świecących w późnym i ciemnym złocie pochmurnego popołudnia, które pogrąża wszystkie załomy i framugi w głębokiej sepii cienia. Bryły i pryzmy tego cienia wcinały się, jak plastry ciemnego miodu, w wąwozy ulic, zatapiały w swej ciepłej, soczystej masie tu całą połowę ulicy, tam wyłom między domami,

dramatyzowały i orkiestrowały ponurą romantyką cieni tę wieloraką polifonię architektoniczną.

Na tym planie, wykonanym w stylu barokowych prospektów, okolica Ulicy Krokodylej świeciła pustą bielą, jaką na kartach geograficznych zwykło się oznaczać okolice podbiegunowe, krainy niezbadane i niepewnej egzystencji. Tylko linie kilku ulic wrysowane tam były czarnymi kreskami i opatrzone nazwami w prostym, nieozdobnym piśmie, w odróżnieniu od szlachetnej antykwy innych napisów. Widocznie kartograf wzbraniał się uznać przynależność tej dzielnicy do zespołu miasta i zastrzeżenie swe wyraził w tym odrębnym i postponującym wykonaniu.

Aby zrozumieć tę rezerwę, musimy już teraz zwrócić uwagę na dwuznaczny i wątpliwy charakter tej dzielnicy, tak bardzo odbiegający od zasadniczego tonu całego miasta.

Był to dystrykt przemysłowo-handlowy z podkreślonym jaskrawo charakterem trzeźwej użytkowości. Duch czasu, mechanizm ekonomiki, nie oszczędził i naszego miasta i zapuścił korzenie na skrawku jego peryferii, gdzie rozwinął się w pasożytniczą dzielnicę.

Kiedy w starym mieście panował wciąż jeszcze nocny, pokątny handel, pełen solennej ceremonialności, w tej nowej dzielnicy rozwinęły się od razu nowoczesne, trzeźwe formy komercjalizmu. Pseudoamerykanizm, zaszczepiony na starym, zmurszałym gruncie miasta, wystrzelił tu bujną, lecz pustą i bezbarwną wegetacją tandetnej, lichej pretensjonalności. Widziało się tam tanie, marnie budowane kamienice o karykaturalnych fasadach, oblepione monstrualnymi sztukateriami z popękanego gipsu. Stare, krzywe domki podmiejskie otrzymały szybko sklecone portale, które dopiero bliższe przyjrzenie demaskowało jako nędzne imitacje wielkomiejskich urządzeń. Wadliwe, mętne i brudne szyby, łamiące

w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, nieheblowane drzewo portali, szara atmosfera jałowych tych wnętrzy, osiadających pajęczyną i kłakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż odartych i kruszących się ścian, wyciskały tu, na sklepach, piętno dzikiego Klondike'u. Tak ciągnęły się jeden za drugim, magazyny krawców, konfekcje, składy porcelany, drogerie, zakłady fryzjerskie. Szare ich, wielkie szyby wystawowe nosiły ukośnie lub w półkolu biegnące napisy ze złoconych plastycznych liter: CONFISERIE, MANUCURE, KING OF ENGLAND.

Rdzenni mieszkańcy miasta trzymali się z dala od tej okolicy, zamieszkiwanej przez szumowiny, przez gmin, przez kreatury bez charakteru, bez gęstości, przez istną lichotę moralną, tę tandetną odmianę człowieka, która rodzi się w takich efemerycznych środowiskach. Ale w dniach upadku, w godzinach niskiej pokusy zdarzało się, że ten lub ów z mieszkańców miasta zabłąkiwał się na wpół przypadkiem w tę wątpliwą dzielnicę. Najlepsi nie byli czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniwelowania granic i hierarchii, pławienia się w tym płytkim błocie wspólnoty, łatwej intymności, brudnego zmieszania. Dzielnica ta była eldoradem takich dezerterów moralnych, takich zbiegów spod sztandaru godności własnej. Wszystko zdawało się tam podejrzane i dwuznaczne, wszystko zapraszało sekretnym mrugnięciem, cynicznie artykułowanym gestem, wyraźnie przymrużonym perskim okiem – do nieczystych nadziei, wszystko wyzwalało z pęt niską naturę.

Mało kto, nieuprzedzony, spostrzegał dziwną osobliwość tej dzielnicy: brak barw, jak gdyby w tym tandetnym, w pośpiechu wyrosłym mieście nie można było sobie pozwolić na luksus kolorów. Wszystko tam było szare jak na jednobarwnych fotografiach, jak w ilustrowanych prospektach. Podobieństwo to

wychodziło poza zwykłą metaforę, gdyż chwilami, wędrując po tej części miasta, miało się w istocie wrażenie, że wertuje się w jakimś prospekcie, w nudnych rubrykach komercjalnych ogłoszeń, wśród których zagnieździły się pasożytniczo podejrzane anonse, drażliwe notatki, wątpliwe ilustracje; i wędrówki te były równie jałowe i bez rezultatu jak ekscytacje fantazji, pędzonej przez szpalty i kolumny pornograficznych druków.

Wchodziło się do jakiegoś krawca, żeby zamówić ubranie – ubranie o taniej elegancji, tak charakterystycznej dla tej dzielnicy. Lokal był wielki i pusty, bardzo wysoki i bezbarwny. Ogromne wielopiętrowe półki wznoszą się jedne nad drugimi w nie określoną wysokość tej hali. Kondygnacje pustych półek wyprowadzają wzrok w górę aż pod sufit, który może być niebem – lichym, bezbarwnym, odrapanym niebem tej dzielnicy. Natomiast dalsze magazyny, które widać przez otwarte drzwi, pełne są aż pod sufit pudeł i kartonów, piętrzących się ogromną kartoteką, która rozpada się w górze, pod zagmatwanym niebem strychu w kubaturę pustki, w jałowy budulec nicości. Przez wielkie szare okna, kratkowane wielokrotnie jak arkusze papieru kancelaryjnego, nie wchodzi światło, gdyż przestrzeń sklepu już napełniona jest, jak wodą, indyferentną szarą poświatą, która nie rzuca cienia i nie akcentuje niczego. Wnet nawija się jakiś smukły młodzieniec, zadziwiająco usłużny, giętki i nieodporny, ażeby dogodzić naszym życzeniom i zalać nas tanią i łatwą wymową subiekta. Ale gdy, gadając, rozwija ogromne postawy sukna, przymierza, fałduje i drapuje niekończącą się strugę materiału, przepływającą przez jego ręce, formując z jego fal iluzoryczne surduty i spodnie, cała ta manipulacja wydaje się czymś nieistotnym, pozorem, komedią, ironicznie zarzuconą zasłoną na prawdziwy sens sprawy.

Panienki sklepowe, smukłe i czarne, każda z jakąś skazą piękności (charakterystyczną dla tej dzielnicy wybrakowanych artykułów), wchodzą i wychodzą, stają w drzwiach magazynów, sondując oczyma, czy rzecz wiadoma (powierzona doświadczonym rękom subiekta) dojrzewa do punktu właściwego. Subiekt przymila się i kryguje i chwilami robi wrażenie transwestyty. Chciałoby się go ująć pod miękko zarysowaną brodę lub uszczypnąć w upudrowany blady policzek, gdy z porozumiewawczym półspojrzeniem dyskretnie zwraca uwagę na markę ochronną towaru, markę o przejrzystej symbolice.

Zwolna sprawa wyboru ubrania schodzi na plan dalszy. Ten miękki do efeminacji i zepsuty młodzieniec, pełen zrozumienia dla najintymniejszych poruszeń klienta, przesuwa teraz przed jego oczyma osobliwe marki ochronne, całą bibliotekę znaków ochronnych, gabinet kolekcjonerski wyrafinowanego zbieracza. Pokazywało się wówczas, że magazyn konfekcji był tylko fasadą, za którą kryła się antykwarnia, zbiór wysoce dwuznacznych wydawnictw i druków prywatnych. Usłużny subiekt otwiera dalsze składy, wypełnione aż pod sufit książkami, rycinami, fotografiami. Te winiety, te ryciny przechodzą stokrotnie najśmielsze nasze marzenia. Takich kulminacyj zepsucia, takich wymyślności wyuzdania nie przeczuwaliśmy nigdy.

Panienki sklepowe przesuwają się coraz częściej pomiędzy szeregami książek, szare i papierowe, ale pełne pigmentu w zepsutych twarzach, ciemnego pigmentu brunetek o lśniącej i tłustej czarności, która zaczajona w oczach, z nagła wybiegała z nich zygzakiem lśniącego karakoniego biegu. Ale i w spalonych rumieńcach, w pikantnych stygmatach pieprzyków, we wstydliwych znamionach ciemnego puszku zdradzała się rasa zapiekłej, czarnej krwi. Ten barwik o nazbyt intensywnej mocy, ta

mokka gęsta i aromatyczna zdawała się plamić książki, które brały one do oliwkowej dłoni, ich dotknięcia zdawały się je farbować i zostawiać w powietrzu ciemny deszcz piegów, smugę tabaki, jak purchawka o podniecającej, animalnej woni. Tymczasem powszechna rozwiązłość zrzucała coraz bardziej hamulce pozorów. Subiekt, wyczerpawszy swą natarczywą aktywność, przechodził powoli do kobiecej bierności. Leży teraz na jednej z wielu kanap, porozstawianych wśród rejonów książek, w jedwabnej pidżamie, odsłaniającej kobiecy dekolt. Panienki demonstrują, jedna przed drugą, figury i pozycje rycin okładkowych, inne zasypiają już na prowizorycznych posłaniach. Nacisk na klienta rozluźniał się. Wypuszczano go z kręgu natarczywego zainteresowania, pozostawiano sobie samemu. Subiektki, zajęte rozmową, nie zwracały nań więcej uwagi. Odwrócone do niego tyłem lub bokiem, przystawały w aroganckim kontra poście, przestępowały z nogi na nogę, grając kokieteryjnym obuwiem, przepuszczały z góry na dół po smukłym ciele wężową grę członków, atakując nią spoza swej niedbałej nieodpowiedzialności podnieconego widza, którego ignorowały. Tak cofano się, wsuwano w głąb z wyrachowaniem, otwierając wolną przestrzeń dla aktywności gościa. Skorzystajmy z tego momentu nieuwagi, ażeby wymknąć się nieprzewidzianym konsekwencjom tej niewinnej wizyty i wydostać się na ulicę.

Nikt nas nie zatrzymuje. Przez korytarze książek, pomiędzy długimi regałami czasopism i druków wydostajemy się ze sklepu i oto jesteśmy w tym miejscu Ulicy Krokodylej, gdzie z wyniesionego jej punktu widać niemal całą długość tego szerokiego traktu aż do dalekich, niewykończonych zabudowań dworca kolejowego. Jest to szary dzień, jak zawsze w tej okolicy, i cała sceneria wydaje się chwilami fotografią z ilustrowanej gazety,

tak szare, tak płaskie są domy, ludzie i pojazdy. Ta rzeczywistość jest cienka jak papier i wszystkimi szparami zdradza swą imitatywność. Chwilami ma się wrażenie, że tylko na małym skrawku przed nami układa się wszystko przykładnie w ten pointowany obraz bulwaru wielkomiejskiego, gdy tymczasem już na bokach rozwiązuje się i rozprzęga ta zaimprowizowana maskarada i, niezdolna wytrwać w swej roli, rozpada się za nami w gips i pakuły, w rupieciarnię jakiegoś ogromnego pustego teatru. Napięcie pozy, sztuczna powaga maski, ironiczny patos drży na tym naskórku. Ale dalecy jesteśmy od chęci demaskowania widowiska. Wbrew lepszej wiedzy czujemy się wciągnięci w tandetny czar dzielnicy. Zresztą nie brak w obrazie miasta i pewnych cech autoparodii. Rzędy małych, parterowych domków podmiejskich zmieniają się z wielopiętrowymi kamienicami, które zbudowane jak z kartonu, są konglomeratem szyldów, ślepych okien biurowych, szklistoszarych wystaw, reklam i numerów. Pod domami płynie rzeka tłumu. Ulica jest szeroka jak bulwar wielkomiejski, ale jezdnia, jak place wiejskie, zrobiona jest z ubitej gliny, pełna wybojów, kałuży i trawy. Ruch uliczny dzielnicy służy do porównań w tym mieście, mieszkańcy mówią o nim z dumą i porozumiewawczym błyskiem w oku. Szary, bezosobisty ten tłum jest nader przejęty swą rolą i pełen gorliwości w demonstrowaniu wielkomiejskiego pozoru. Wszelako, mimo zaaferowania i interesowności, ma się wrażenie błędnej, monotonnej, bezcelowej wędrówki, jakiegoś sennego korowodu marionetek. Atmosfera dziwnej błahości przenika tę całą scenerię. Tłum płynie monotonnie i, rzecz dziwna, widzi się go zawsze jakby niewyraźnie, figury przepływają w splątanym, łagodnym zgiełku, nie dochodząc do zupełnej wyrazistości. Czasem tylko wyławiamy z tego gwaru wielu głów jakieś ciemne, żywe spojrzenie, jakiś czarny melonik nasunięty głęboko na głowę, jakieś pół twarzy

rozdarte uśmiechem, z ustami, które właśnie coś powiedziały, jakąś nogę wysuniętą w kroku i tak już zastygłą na zawsze.

Osobliwością dzielnicy są dorożki bez woźniców, biegnące samopas po ulicach. Nie jakoby nie było tu dorożkarzy, ale wmieszani w tłum i zajęci tysiącem spraw, nie troszczą się o swe dorożki. W tej dzielnicy pozoru i pustego gestu nie przywiązuje się zbytniej wagi do ścisłego celu jazdy i pasażerowie powierzają się tym błędnym pojazdom z lekkomyślnością, która cechuje tu wszystko. Nieraz można ich widzieć na niebezpiecznych zakrętach, wychylonych daleko z połamanej budy, jak z lejcami w dłoniach przeprowadzają z natężeniem trudny manewr wymijania.

Mamy w tej dzielnicy także tramwaje. Ambicja rajców miejskich święci tu najwyższy swój triumf. Ale pożałowania godny jest widok tych wozów, zrobionych z papier mâché, o ścianach powyginanych i zmiętych od wieloletniego użytku. Często brak im zupełnie przedniej ściany tak, że widzieć można w przejeździe pasażerów, siedzących sztywnie i zachowujących się z wielką godnością. Tramwaje te popychane są przez tragarzy miejskich. Najdziwniejszą atoli rzeczą jest komunikacja kolejowa na Ulicy Krokodylej.

Czasami, w nieregularnych porach dnia, gdzieś ku końcowi tygodnia można zauważyć tłum ludzi czekających na zakręcie ulicy na pociąg. Nie jest się nigdy pewnym, czy przyjedzie i gdzie stanie, i zdarza się często, że ludzie ustawiają się w dwóch różnych punktach, nie mogąc uzgodnić swych poglądów na miejsce przystanku. Czekają długo i stoją czarnym milczącym tłumem wzdłuż ledwo zarysowanych śladów toru, z twarzami w profilu, jak szereg bladych masek z papieru, wyciętych w fantastyczną linię zapatrzenia. I wreszcie niespodzianie zajeżdża, już wjechał z bocznej uliczki, skąd go oczekiwano, niski jak wąż, miniaturowy, z małą, sapiącą, krępą lokomotywą. Wjechał w ten czarny szpaler i ulica

staje się ciemna od tego ciągu wozów, siejących pył węglowy. Ciemne sapanie parowozu i powiew dziwnej powagi, pełnej smutku, tłumiony pośpiech i zdenerwowanie zamieniają ulicę na chwilę w halę dworca kolejowego w szybko zapadającym zmierzchu zimowym.

Plagą naszego miasta jest ażiotaż biletów kolejowych i przekupstwo.

W ostatniej chwili, gdy pociąg już stoi na stacji, toczą się w nerwowym pośpiechu pertraktacje z przekupnymi urzędnikami linii żelaznej. Zanim te negocjacje się kończą, pociąg rusza, odprowadzany przez wolno sunący, rozczarowany tłum, który odprowadza go daleko, ażeby się wreszcie rozproszyć.

Ulica, zacieśniona na chwilę do tego zaimprowizowanego dworca, pełnego zmierzchu i tchnienia dalekich dróg – rozwidnia się znowu, rozszerza i przepuszcza znów swym korytem beztroski monotonny tłum spacerowiczów, który wędruje wśród gwaru rozmów wzdłuż wystaw sklepowych, tych brudnych, szarych czworoboków, pełnych tandetnych towarów, wielkich woskowych manekinów i lalek fryzjerskich.

Wyzywająco ubrane, w długich koronkowych sukniach przechodzą prostytutki. Mogą to być zresztą żony fryzjerów lub kapelmistrzów kawiarnianych. Idą drapieżnym, posuwistym krokiem i mają w niedobrych, zepsutych twarzach nieznaczną skazę, która je przekreśla: zezują czarnym, krzywym zezem lub mają usta rozdarte, lub brak im koniuszka nosa.

Mieszkańcy miasta dumni są z tego odoru zepsucia, którym tchnie Ulica Krokodyli. Nie mamy potrzeby niczego sobie odmawiać – myślą z dumą – stać nas i na prawdziwą wielkomiejską rozpustę. Twierdzą oni, że każda kobieta w tej dzielnicy jest kokotą. W istocie wystarczy zwrócić uwagę na którąś – a natychmiast

spotyka się to uporczywe, lepkie spojrzenie, które nas zmraża rozkoszną pewnością. Nawet dziewczęta szkolne noszą tu w pewien charakterystyczny sposób kokardy, stawiają swoistą manierą smukłe nogi i mają tę nieczystą skazę w spojrzeniu, w której leży preformowane przyszłe zepsucie.

A jednak – a jednak czy mamy zdradzić ostatnią tajemnicę tej dzielnicy, troskliwie ukrywany sekret Ulicy Krokodyli?

Kilkakrotnie w trakcie naszego sprawozdania stawialiśmy pewne znaki ostrzegawcze, dawaliśmy w delikatny sposób wyraz naszym zastrzeżeniom. Uważny czytelnik nie będzie nieprzygotowany na ten ostateczny obrót sprawy. Mówiliśmy o imitatywnym, iluzorycznym charakterze tej dzielnicy, ale słowa te mają zbyt ostateczne i stanowcze znaczenie, by określić połowiczny i niezdecydowany charakter jej rzeczywistości.

Język nasz nie posiada określeń, które by dozowały niejako stopień realności, definiowały jej giętkość. Powiedzmy bez ogródek: fatalnością tej dzielnicy jest, że nic w niej nie dochodzi do skutku, nic nie odbiega od swego definitivum, wszystkie ruchy rozpoczęte zawisają w powietrzu, wszystkie gesty wyczerpują się przedwcześnie i nie mogą przekroczyć pewnego martwego punktu. Mogliśmy już zauważyć wielką bujność i rozrzutność – w intencjach, w projektach i antycypacjach, która cechuje tę dzielnicę. Cała ona nie jest niczym innym jak fermentacją pragnień, przedwcześnie wybujałą i dlatego bezsilną i pustą. W atmosferze nadmiernej łatwości kiełkuje tutaj każda najlżejsza zachcianka, przelotne napięcie puchnie i rośnie w pustą, wydętą narośl, wystrzela szara i lekka wegetacja puszystych chwastów, bezbarwnych włochatych maków, zrobiona z nieważkiej tkanki majaku i haszyszu. Nad całą dzielnicą unosi się leniwy i rozwiązły fluid grzechu i domy, sklepy, ludzie wydają się niekiedy dreszczem

na jej gorączkującym ciele, gęsią skórką na jej febrycznych marzeniach. Nigdzie, jak tu, nie czujemy się tak zagrożeni możliwościami, wstrząśnięci bliskością spełnienia, pobladli i bezwładni rozkosznym truchleniem ziszczenia. Lecz na tym się też kończy.

Przekroczywszy pewien punkt napięcia, przypływ zatrzymuje się i cofa, atmosfera gaśnie i przekwita, możliwości więdną i rozpadają się w nicość, oszalałe szare maki ekscytacji rozsypują się w popiół.

Będziemy wiecznie żałowali, żeśmy wtedy wyszli na chwilę z magazynu konfekcji podejrzanej konduity. Nigdy nie trafimy już doń z powrotem. Będziemy błądzili od szyldu do szyldu i mylili się setki razy. Zwiedzimy dziesiątki magazynów, trafimy do całkiem podobnych, będziemy wędrowali przez szpalery książek, wertowali czasopisma i druki, konferowali długo i zawile z panienkami o nadmiernym pigmencie i skażonej piękności, które nie potrafią zrozumieć naszych życzeń.

Będziemy się wikłali w nieporozumieniach, aż cała nasza gorączka i podniecenie ulotni się w niepotrzebnym wysiłku, w straconej na próżno gonitwie.

Nasze nadzieje były nieporozumieniem, dwuznaczny wygląd lokalu i służby – pozorem, konfekcja była prawdziwą konfekcją, a subiekt nie miał żadnych ukrytych intencyj. Świat kobiecy Ulicy Krokodylej odznacza się całkiem miernym zepsuciem, zagłuszonym grubymi warstwami przesądów moralnych i banalnej pospolitości. W tym mieście taniego materiału ludzkiego brak także wybujałości instynktu, brak niezwykłych i ciemnych namiętności.

Ulica Krokodyli była koncesją naszego miasta na rzecz nowoczesności i zepsucia wielkomiejskiego. Widocznie nie stać nas było na nic innego jak na papierową imitację, jak na fotomontaż złożony z wycinków zleżałych, zeszłorocznych gazet.

Karakony

Było to w okresie szarych dni, które nastąpiły po świetnej kolorowości genialnej epoki mego ojca. Były to długie tygodnie depresji, ciężkie tygodnie bez niedziel i świąt, przy zamkniętym niebie i w zubożałym krajobrazie. Ojca już wówczas nie było. Górne pokoje wysprzątano i wynajęto pewnej telefonistce. Z całego ptasiego gospodarstwa pozostał nam jedyny egzemplarz, wypchany kondor, stojący na półce w salonie. W chłodnym półmroku zamkniętych firanek stał on tam, jak za życia, na jednej nodze, w pozie buddyjskiego mędrca, a gorzka jego, wyschła twarz ascety skamieniała w wyraz ostatecznej obojętności i abnegacji. Oczy wypadły, a przez wypłakane, łzawe orbity sypały się trociny. Tylko rogowate egipskie narośle na nagim potężnym dziobie i na łysej szyi, narośle i gruzły spłowiałobłękitnej barwy nadawały tej starczej głowie coś dostojnie hieratycznego.

Pierzasty habit jego był już w wielu miejscach przeżarty przez mole i gubił miękkie, szare pierze, które Adela raz w tygodniu wymiatała wraz z bezimiennym kurzem pokoju. W wyłysiałych miejscach widać było workowe, grube płótno, z którego wyłaziły kłaki konopne. Miałem ukryty żal do matki za łatwość, z jaką przeszła do porządku dziennego nad stratą ojca. Nigdy go nie kochała – myślałem – a ponieważ ojciec nie był zakorzeniony w sercu żadnej kobiety, przeto nie mógł też wróść w żadną realność i unosił się wiecznie na peryferii życia, w półrealnych regionach, na krawędziach rzeczywistosci. Nawet na uczciwą obywatelską śmierć nie zasłużył sobie – myślałem – wszystko u niego musiało,

być dziwaczne i wątpliwe. Postanowiłem w stosownej chwili zaskoczyć matkę otwartą rozmową. Owego dnia (był ciężki dzień zimowy i od rana już sypał się miękki puch zmierzchu) matka miała migrenę i leżała na sofie samotnie w salonie.

W tym rzadko odwiedzanym, paradnym pokoju panował od czasu zniknięcia ojca wzorowy porządek, pielęgnowany woskiem i szczotkami przez Adelę. Meble przykryte były pokrowcami; wszystkie sprzęty poddały się żelaznej dyscyplinie, jaką Adela roztoczyła nad tym pokojem. Tylko pęk piór pawich, stojących w wazie na komodzie, nie dał się utrzymać w ryzach. Był to element swawolny, niebezpieczny, o nieuchwytnej rewolucyjności, jak rozhukana klasa gimnazjastek, pełna dewocji w oczy, a rozpustnej swawoli poza oczyma. Świdrowały te oczy dzień cały i wierciły dziury w ścianach, mrugały, tłoczyły się, trzepocąc rzęsami, z palcem przy ustach, jedne przez drugie, pełne chichotu i psoty. Napełniały pokój świergotem i szeptem, rozsypywały się, jak motyle, dookoła wieloramiennej lampy, uderzały tłumem barwnym w matowe, starcze dziurki od kluczy. Nawet w obecności matki, leżącej z zawiązaną głową na sofie, nie mogły się powstrzymać, robiły perskie oczko, dawały sobie znaki, mówiły niemym, kolorowym alfabetem, pełnym sekretnych znaczeń. Irytowało mnie to szydercze porozumienie, ta migotliwa zmowa poza mymi plecami. Z kolanami przyciśniętymi do sofy matki, badając dwoma palcami, jakby w zamyśleniu, delikatną materię jej szlafroka, rzekłem niby mimochodem: – Chciałem cię już od dawna zapytać: prawda, że to jest on? – I chociaż nie wskazałem nawet spojrzeniem na kondora, matka odgadła od razu, zmieszała się bardzo i spuściła oczy. Dałem umyślnie upłynąć chwili, żeby wykosztować jej zmieszanie, po czym z całym spokojem,

opanowując wzbierający gniew, spytałem: – Jaki sens mają w takim razie te wszystkie plotki i kłamstwa, które rozsiewasz o ojcu?

Lecz jej rysy, które w pierwszej chwili rozpadły się były w panice, zaczęły się znowu porządkować. – Jakie kłamstwa? – spytała mrugając oczyma, które były puste, nalane ciemnym błękitem, bez białka. – Znam je od Adeli – rzekłem – ale wiem, że pochodzą od ciebie; chcę wiedzieć prawdę.

Usta jej drżały lekko, źrenice, unikając mego wzroku, powędrowały w kąt oka. – Nie kłamałam – rzekła, a usta – jej napęczniały i stały się małe zarazem. Uczułem, że mnie kokietuje jak kobieta mężczyznę. – Z tymi karakonami to prawda – sam przecież pamiętasz... – Zmieszałem się. Pamiętałem w istocie tę inwazję karakonów, ten zalew czarnego rojowiska, które napełniało ciemność nocną, pajęczą bieganiną. Wszystkie szpary pełne były drgających wąsów, każda szczelina mogła wystrzelić z nagła karakonem, z każdego pęknięcia podłogi mogła zlęgnąć się ta czarna błyskawica, lecąca oszalałym zygzakiem po podłodze. Ach, ten dziki obłęd popłochu, pisany błyszczącą, czarną linią na tablicy podłogi. Ach, te krzyki grozy ojca, skaczącego z krzesła na krzesło z dzirytem w ręku. Nie przyjmując jadła ani napoju, z wypiekami gorączki na twarzy, z konwulsją wstrętu wrytą dookoła ust, ojciec mój zdziczał zupełnie. Jasne było, że tego napięcia nienawiści żaden organizm długo wytrzymać nie może. Straszliwa odraza zamieniała jego twarz w stężałą maskę tragiczną, w której tylko źrenice, ukryte za dolną powieką, leżały na czatach, napięte jak cięciwy, w wiecznej podejrzliwości. Z dzikim wrzaskiem zrywał się nagle z siedzenia, leciał na oślep w kąt pokoju i już podnosił dziryt, na którym utkwiony ogromny karakon przebierał rozpaczliwie gmatwaniną swych nóg. Adela przychodziła wówczas blademu ze zgrozy z pomocą i odbierała lancę wraz z utkwionym trofeum, ażeby ją

utopić w cebrzyku. Już wówczas jednak nie umiałbym był powiedzieć, czy obrazy te zaszczepiły mi opowiadania Adeli, czy też sam byłem ich świadkiem. Ojciec mój nie posiadał już wtedy tej siły odpornej, która zdrowych ludzi broni od fascynacji wstrętu. Zamiast odgraniczyć się do straszliwej siły atrakcyjnej tej fascynacji, ojciec mój, wydany na łup szału, wplątywał się w nią coraz bardziej. Smutne skutki nie dały długo na siebie czekać. Wnet pojawiły się pierwsze podejrzane znaki, które napełniły nas przerażeniem i smutkiem. Zachowanie ojca zmieniło się. Szał jego, euforia jego podniecenia przygasła. W ruchach i mimice jęły się zdradzać znaki złego sumienia. Zaczął nas unikać. Krył się dzień cały po kątach, w szafach, pod pierzyną. Widziałem go nieraz, jak w zamyśleniu oglądał własne ręce, badał konsystencję skóry, paznokci, na których występować zaczęły czarne plamy, jak łuski karakona.

W dzień opierał się jeszcze ostatkami sił, walczył, ale w nocy fascynacja uderzała nań potężnymi arakami. Widziałem go późną nocą, w świetle świecy stojącej na podłodze. Mój ojciec leżał na ziemi nagi, popstrzony czarnymi plamami totemu, pokreślony liniami żeber, fantastycznym rysunkiem przeświecającej na zewnątrz anatomii, leżał na czworakach, opętany fascynacją awersji, która go wciągała w głąb swych zawiłych dróg. Mój ojciec poruszał się wieloczłonkowym, skomplikowanym ruchem dziwnego rytuału, w którym ze zgrozą poznałem imitację ceremoniału karakoniego.

Od tego czasu wyrzekliśmy się ojca. Podobieństwo do karakona występowało z dniem każdym wyraźniej – mój ojciec zamieniał się w karakona.

Zaczęliśmy się przyzwyczajać do tego. Widywaliśmy go coraz rzadziej, całymi tygodniami znikał gdzieś na swych karakonich drogach – przestaliśmy go odróżniać, zlał się w zupełności z tym

czarnym niesamowitym plemieniem. Kto mógł powiedzieć, czy żył gdzieś jeszcze w jakiejś szparze podłogi, czy przebiegał nocami pokoje, zaplątany w afery karakonie, czy też był może między tymi martwymi owadami, które Adela co rana znajdowała brzuchem do góry leżące i najeżone nogami i które ze wstrętem brała na śmietniczkę i wyrzucała?

– A jednak – powiedziałem zdetonowany – jestem pewny, że ten kondor to on. – Matka spojrzała na mnie spod rzęs: – Nie dręcz mnie, drogi – mówiłam ci już przecież, że ojciec podróżuje jako komiwojażer po kraju – przecież wiesz, że czasem w nocy przyjeżdża do domu, ażeby przed świtem jeszcze dalej odjechać.

Wichura

Tej długiej i pustej zimy obrodziła ciemność w naszym mieście ogromnym, stokrotnym urodzajem. Zbyt długo snadź nie sprzątano na strychach i w rupieciarniach, stłaczano garnki na garnkach i flaszki na flaszkach, pozwalano narastać bez końca pustym bateriom butelek.

Tam, w tych spalonych, wielkobelkowych lasach strychów i dachów ciemność zaczęła się wyradzać i dziko fermentować. Tam zaczęły się te czarne sejmy garnków, te wiecowania gadatliwe i puste, te bełkotliwe flaszkowania, bulgoty butli i baniek. Aż pewnej nocy wezbrały pod gontowymi przestworami falangi garnków i flaszek i popłynęły wielkim stłoczonym ludem na miasto.

Strychy, wystrychnięte ze strychów, rozprzestrzeniały się jedne z drugich i wystrzelały czarnymi szpalerami, a przez przestronne ich echa przebiegały kawalkady tramów i belek, lansady drewnianych kozłów, klękających na jodłowe kolana, ażeby wypadłszy na wolność, napełnić przestwory nocy galopem krokwi i zgiełkiem płatwi i bantów.

Wtedy to wylały się te czarne rzeki, wędrówki beczek i konwi, i płynęły przez noce. Czarne ich, połyskliwe, gwarne zbiegowiska oblegały miasto. Nocami mrowił się ten ciemny zgiełk naczyń i napierał jak armie rozgadanych ryb, niepowstrzymany najazd pyskujących skopców i bredzących cebrów.

Dudniąc dnami, piętrzyły się wiadra, beczki i konwie, dyndały się gliniane stągwie zdunów, stare kapeluchy i cylindry dandysów

gramoliły się jedna na drugie, rosnąc w niebo kolumnami, które się rozpadały.

I wszystkie kołatały niezgrabnie kołkami drewnianych języków, mełły nieudolnie w drewnianych gębach bełkot klątw i obelg, bluźniąc błotem na całej przestrzeni nocy. Aż dobluźniły się, doklęły swego.

Przywołane rechotem naczyń, rozplotkowanym od brzegu do brzegu, nadeszły wreszcie karawany, nadciągnęły potężne tabory wichru i stanęły nad nocą. Ogromne obozowisko, czarny ruchomy amfiteatr zstępować zaczął w potężnych kręgach ku miastu. I wybuchła ciemność ogromną wzburzoną wichurą i szalała przez trzy dni i trzy noce...

– Nie pójdziesz dziś do szkoły – rzekła rano matka – jest straszna wichura na dworze. – W pokoju unosił się delikatny welon dymu, pachnący żywicą. Piec wył i gwizdał, jak gdyby uwiązana w nim była cała sfora psów czy demonów. Wielki bohomaz, wymalowany na jego pękatym brzuchu, wykrzywiał się kolorowym grymasem i fantastyczniał wzdętymi policzkami.

Pobiegłem boso do okna. Niebo wydmuchane było wzdłuż i wszerz wiatrami. Srebrzystobiałe i przestronne, porysowane było w linie sił, natężone do pęknięcia, w srogie bruzdy, jakby zastygłe żyły cyny i ołowiu. Podzielone na pola energetyczne i drżące od napięć, pełne było utajonej dynamiki. Rysowały się w nim diagramy wichury, która sama niewidoczna i nieuchwytna, ładowała krajobraz potęgą.

Nie widziało się jej. Poznawało się ją po domach, po dachach, w które wjeżdżała jej furia. Jeden po drugim strychy zdawały się rosnąć i wybuchać szaleństwem, gdy wstępowała w nie jej siła.

Ogałacała place, zostawiała za sobą na ulicach białą pustkę, zamiatała całe połacie rynku do czysta. Ledwie tu i ówdzie giął się

pod nią i trzepotał, uczepiony węgła domu, samotny człowiek. Cały plac rynkowy zdawał się wybrzuszać i lśnić pustą łysiną pod jej potężnymi przelotami.

Na niebie wydmuchał wiatr zimne i martwe kolory, grynszpanowe, żółte i liliowe smugi, dalekie sklepienia i arkady swego labiryntu. Dachy stały pod tymi niebami czarne i krzywe, pełne niecierpliwości i oczekiwania. Te, w które wstąpił wicher, wstawały w natchnieniu, przerastały sąsiednie domy i prorokowały pod rozwichrzonym niebem. Potem opadały i gasły nie mogąc dłużej zatrzymać potężnego tchu, który leciał dalej i napełniał cały przestwór zgiełkiem i przerażeniem. I znów inne domy wstawały z krzykiem, w paroksyzmie jasnowidzenia, i zwiastowały.

Ogromne buki koło kościoła stały z wniesionymi rękami, jak świadkowie wstrząsających objawień, i krzyczały, krzyczały.

Dalej, za dachami rynku, widziałem dalekie mury ogniowe, nagie ściany szczytowe przedmieścia. Wspinały się jeden nad drugi i rosły, zesztywniałe z przerażenia i osłupiałe. Daleki, zimny, czerwony odblask zabarwiał je późnymi kolorami.

Nie jedliśmy tego dnia obiadu, bo ogień w kuchni wracał kłębami dymu do izby. W pokojach było zimno i pachniało wiatrem. Około drugiej po południu wybuchł na przedmieściu pożar i rozszerzał się gwałtownie. Matka z Adelą zaczęły pakować pościel, futra i kosztowności.

Nadeszła noc. Wicher wzmógł się na sile i gwałtowności, rozrósł się niepomiernie i objął cały przestwór. Już teraz nie nawiedzał domów i dachów, ale wybudował nad miastem wielopiętrowy, wielokrotny przestwór, czarny labirynt, rosnący w nieskończonych kondygnacjach. Z tego labiryntu wystrzelał całymi galeriami pokojów, wyprowadzał piorunem skrzydła i trakty, toczył z hukiem długie amfilady, a potem dawał się zapadać tym

wyimaginowanym piętrom, sklepieniom i kazamatom i wzbijał się jeszcze wyżej, kształtując sam bezforemny bezmiar swym natchnieniem.

Pokój drżał z lekka, obrazy na ścianach brzęczały. Szyby lśniły się tłustym odblaskiem lampy. Firanki na oknie wisiały wzdęte i pełne tchnienia tej burzliwej nocy. Przypomnieliśmy sobie, że ojca od rana nie widziano. Wczesnym rankiem, domyślaliśmy się, musiał udać się do sklepu, gdzie go zaskóczyła wichura, odcinając mu powrót.

– Cały dzień nic nie jadł – biadała matka. Starszy subiekt Teodor podjął się wyprawić w noc i wichurę, żeby zanieść mu posiłek. Brat mój przyłączył się do wyprawy.

Okutani w wielkie niedźwiedzie futra, obciążyli kieszenie żelazkami i moździerzami, balastem, który miał zapobiec porwaniu ich przez wichurę.

Ostrożnie otworzono drzwi prowadzące w noc. Zaledwie subiekt i brat mój z wzdętymi płaszczami wkroczyli jedną nogą w ciemność, noc ich połknęła zaraz na progu domu. Wicher zmył momentalnie ślad ich wyjścia. Nie widać było przez okno nawet latarki, którą ze sobą zabrali.

Pochłonąwszy ich, wicher na chwilę przycichł. Adela z matką próbowały na nowo rozpalić ogień pod kuchnią. Zapałki gasły, przez drzwiczki dmuchało popiołem i sadzą. Staliśmy pod drzwiami i nasłuchiwali. W lamentach wichru dawały się słyszeć wszelkie głosy, perswazje, nawoływania i gawędy. Zdawało się nam, że słyszymy wołanie o pomoc ojca zabłąkanego w wichurze, to znowu, że brat z Teodorem gwarzą beztrosko pod drzwiami. Wrażenie było tak łudzące, że Adela otworzyła drzwi i w samej rzeczy ujrzała Teodora i brata mego, wynurzających się z trudem z wichury, w której tkwili po pachy.

Weszli zdyszani do sieni, zaciskając z wysiłkiem drzwi za sobą. Przez chwilę musieli wesprzeć się o odrzwia, tak silnie szturmował wicher do bramy. Wreszcie zasunęli rygiel i wiatr pognał dalej.

Opowiadali bezładnie o nocy, o wichurze. Ich futra, nasiąkłe wiatrem, pachniały teraz powietrzem. Trzepotali powiekami w świetle; ich oczy, pełne jeszcze nocy, broczyły ciemnością za każdym uderzeniem powiek. Nie mogli dojść do sklepu, zgubili drogę i ledwo trafili z powrotem. Nie poznawali miasta, wszystkie ulice były jak przestawione.

Matka podejrzewała, że kłamali. W istocie cała ta scena sprawiała wrażenie, jakby przez ten kwadrans stali w ciemności pod oknem, nie oddalając się wcale. A może naprawdę nie było już miasta i rynku, a wicher i noc otaczały nasz dom tylko ciemnymi kulisami, pełnymi wycia, świstu i jęków. Może nie było wcale tych ogromnych i żałosnych przestrzeni, które nam wicher sugerował, może nie było wcale tych opłakanych labiryntów, tych wielookiennych traktów i korytarzy, na których grał wicher, jak na długich czarnych fletach. Coraz bardziej umacniało się w nas przekonanie, że cała ta burza była tylko donkiszoterią nocną, imitującą na wąskiej przestrzeni kulis tragiczne bezmiary, kosmiczną bezdomność i sieroctwo wichury.

Coraz częściej otwierały się teraz drzwi sieni i wpuszczały okutanego w opończe i szale gościa. Zziajany sąsiad lub znajomy wywijał się powoli z chustek, płaszczy i wyrzucał z siebie zdyszanym głosem opowiadania, urywane bezładne słowa, które fantastycznie powiększały, kłamliwie przesadzały bezmiar nocy. Siedzieliśmy wszyscy w jasno oświetlonej kuchni. Za ogniskiem kuchennym i czarnym, szerokim okapem komina prowadziło parę stopni do drzwi strychu.

Na tych schodkach siedział starszy subiekt Teodor i nasłuchiwał, jak strych grał od wichru. Słyszał, jak w pauzach wichury miechy żeber strychowych składały się w fałdy i dach wiotczał i zwisał jak ogromne płuca, z których uciekł oddech, to znowu nabierał tchu, nastawiał się palisadami krokwi, rósł jak sklepienia gotyckie, rozprzestrzeniał się lasem belek, pełnym stokrotnego echa, i huczał jak pudło ogromnych basów. Ale potem zapominaliśmy o wichurze, Adela tłukła cynamon w dźwięcznym moździerzu. Ciotka Perazja przyszła w odwiedziny. Drobna, ruchliwa i pełna zabiegliwości, z koronką czarnego szala na głowie, zaczęła krzątać się po kuchni, pomagając Adeli. Adela oskubała koguta. Ciotka Perazja zapaliła pod okapem komina garść papierów i szerokie płaty płomienia wzlatywały z nich w czarną czeluść. Adela, trzymając koguta za szyję, uniosła go nad płomień, ażeby opalić na nim resztę pierza. Kogut zatrzepotał nagle w ogniu skrzydłami, zapiał i spłonął. Wtedy ciotka Perazja zaczęła się kłócić, kląć i złorzeczyć. Trzęsąc się ze złości, wygrażała rękami Adeli i matce. Nie rozumiałem, o co jej chodzi, a ona zacietrzewiała się coraz bardziej w gniewie i stała się jednym pękiem gestykulacji i złorzeczeń. Zdawało się, że w paroksyzmie złości rozgestykuluje się na części, że rozpadnie się, podzieli, rozbiegnie w sto pająków, rozgałęzi się po podłodze czarnym, migotliwym pękiem oszalałych karakonach biegów. Zamiast tego zaczęła raptownie maleć, kurczyć się, wciąż roztrzęsiona i rozsypująca się przekleństwami. Z nagła podreptała, zgarbiona i mała, w kąt kuchni, gdzie leżały drwa na opał i, klnąc i kaszląc, zaczęła gorączkowo przebierać wśród dźwięcznych drewien, aż znalazła dwie cienkie, żółte drzazgi. Pochwyciła je latającymi ze wzburzenia rękami, przymierzyła do nóg, po czym wspięła się na nie, jak na szczudła, i zaczęła na tych żółtych kulach chodzić, stukocąc po deskach, biegać tam i z powrotem wzdłuż

skośnej linii podłogi, coraz szybciej i szybciej, potem wbiegła na ławkę jodłową, kuśtykając na dudniących deskach, a stamtąd na półkę z talerzami, dźwięczną, drewnianą półkę obiegającą ściany kuchni, i biegła po niej, kolankując na szczudłowych kulach, by wreszcie gdzieś w kącie, malejąc coraz bardziej, sczernieć, zwinąć się jak zwiędły, spalony papier, zetlić się w płatek popiołu, skruszyć w proch i w nicość.

Staliśmy wszyscy bezradni wobec tej szalejącej furii złości, która sama siebie trawiła i pożerała. Z ubolewaniem patrzyliśmy na smutny przebieg tego paroksyzmu i z pewną ulgą wróciliśmy do naszych zajęć, gdy żałosny ten proces dobiegł swego naturalnego końca.

Adela zadzwoniła znowu moździerzem, tłukąc cynamon, matka ciągnęła dalej przerwaną rozmowę, a subiekt Teodor, nasłuchując proroctw strychowych, stroił śmieszne grymasy, podnosił wysoko brwi i śmiał się do siebie.

Noc wielkiego sezonu

Każdy wie, że w szeregu zwykłych, normalnych lat rodzi niekiedy zdziwaczały czas ze swego łona lata inne, lata osobliwe, lata wyrodne, którym – jak szósty, mały palec u ręki – wyrasta kędyś trzynasty, fałszywy miesiąc.

Mówimy fałszywy, gdyż rzadko dochodzi on do pełnego rozwoju. Jak dzieci późno spłodzone, pozostaje on w tyle ze wzrostem, miesiąc garbusek, odrośl w połowie uwiędła i raczej domyślna niż rzeczywista.

Winna jest temu starcza niepowściągliwość lata, jego rozpustna i późna żywotność. Bywa czasem, że sierpień minie, a stary gruby pień lata rodzi z przyzwyczajenia jeszcze dalej, pędzi ze swego próchna te dni-dziczki, dni-chwasty, jałowe i idiotyczne, dorzuca na dokładkę, za darmo, dni-kaczany, puste i niejadalne – dni białe, zdziwione i niepotrzebne.

Wyrastają one, nieregularne i nierówne, niewykształcone i zrośnięte z sobą, jak palce potworkowatej ręki, pączkujące i zwinięte w figę.

Inni porównywają te dni do apokryfów, wsuniętych potajemnie między rozdziały wielkiej księgi roku, do palimpsestów, skrycie włączonych pomiędzy jej stronice, albo do tych białych niezadrukowanych kartek, na których oczy, naczytane do syta i pełne treści, broczyć mogą obrazami i gubić kolory na tych pustych stronicach, coraz bladziej i bladziej, ażeby wypocząć na ich nicości, zanim wciągnięte zostaną w labirynty nowych przygód i rozdziałów.

Ach, ten stary, pożółkły romans roku, ta wielka, rozpadająca się księga kalendarza! Leży ona sobie zapomniana gdzieś w archiwach czasu, a treść jej rośnie dalej między okładkami, pęcznieje bez ustanku od gadulstwa miesięcy, od szybkiego samorództwa blagi, od bajania i marzeń, które się w niej mnożą. Ach, i spisując te nasze opowiadania, szeregując te historie o moim ojcu na zużytym marginesie jej tekstu, czy nie oddaję się tajnej nadziei, że wrosną one kiedyś niepostrzeżenie między zżółkłe kartki tej najwspanialszej, rozsypującej się księgi, że wejdą w wielki szelest jej stronic, który je pochłonie?

To, o czym tu mówić będziemy, działo się tedy w owym trzynastym, nadliczbowym i niejako fałszywym miesiącu tego roku, na tych kilkunastu pustych kartkach wielkiej kroniki kalendarza.

Ranki były podówczas dziwnie cierpkie i orzeźwiające. Po uspokojonym i chłodniejszym tempie czasu, po nowym całkiem zapachu powietrza, po odmiennej konsystencji światła poznać było, że weszło się w inną serię dni, w nową okolicę Bożego Roku.

Głos drżał pod tymi nowymi niebami dźwięcznie i świeżo jak w nowym jeszcze i pustym mieszkaniu, pełnym zapachu lakieru, farb, rzeczy zaczętych i niewypróbowanych. Z dziwnym wzruszeniem próbowało się nowego echa, napoczynało się je z ciekawością, jak w chłodny i trzeźwy poranek babkę do kawy w przeddzień podróży.

Ojciec mój siedział znowu w tylnym kontuarze sklepu, w małej, sklepionej izbie, pokratkowanej jak ul w wielokomórkowe registratury i łuszczącej się bez końca warstwami papieru, listów i faktur. Z szelestu arkuszy, z nieskończonego kartkowania papierów wyrastała kratkowana i pusta egzystencja tego pokoju, z nieustannego przekładania plików odnawiała się w powietrzu z niezliczonych nagłówków firmowych apoteoza w formie miasta

fabrycznego, widzianego z lotu ptaka, najeżonego dymiącymi kominami, otoczonego rzędami medali i ujętego w wywijasy i zakręty pompatycznych et i Comp.

Tam siedział ojciec, jak w ptaszarni, na wysokim stołku, a gołębniki registratur szeleściły plikami papierów i wszystkie gniazda i dziuple pełne były świergotu cyfr.

Głąb wielkiego sklepu ciemniała i wzbogacała się z dnia na dzień zapasami sukna, szewiotów, aksamitów i kortów. W ciemnych półkach, tych spichrzach i lamusach chłodnej, pilśniowej barwności, procentowała stokrotnie ciemna, odstała korowość rzeczy, mnożył się i sycił potężny kapitał jesieni. Tam rósł i ciemniał ten kapitał i rozsiadał się coraz szerzej na półkach, jak na galeriach jakiegoś wielkiego teatru, uzupełniając się jeszcze i pomnażając każdego rana nowymi ładunkami towaru, który w skrzyniach i pakach wraz z rannym chłodem wnosili na niedźwiedzich barach stękający, brodaci tragarze w oparach świeżości jesiennej i wódki. Subiekci wyładowywali te nowe zapasy sycących bławatnych kolorów i wypełniali nimi, kitowali starannie wszystkie szpary i luki wysokich szaf. Był to rejestr olbrzymi wszelakich kolorów jesieni, ułożony warstwami, usortowany odcieniami, idący w dół i w górę, jak po dźwięcznych schodach, po gamach wszystkich oktaw barwnych. Zaczynał się u dołu i próbował jękliwie i nieśmiało altowych spełzłości i półtonów, przechodził potem do spłowiałych popiołów dali, do gobelinowych błękitów i rosnąc ku górze coraz szerszymi akordami, dochodził do ciemnych granatów, do indyga lasów dalekich i do pluszu parków szumiących, ażeby potem poprzez wszystkie ochry, sangwiny, rudości i sepie wejść w szelestny cień więdnących ogrodów i dojść do ciemnego zapachu grzybów, do tchnienia próchna w głębiach nocy jesiennej i do głuchego akompaniamentu najciemniejszych basów.

Ojciec mój szedł wzdłuż tych arsenałów sukiennej jesieni i uspokajał i uciszał te masy, ich wzbierającą moc, spokojną potęgę Pory. Chciał jak najdłużej utrzymać w całości te rezerwy zamagazynowanej barwności. Bał się łamać, wymieniać na gotówkę ten fundusz żelazny jesieni. Ale wiedział, czuł, że przyjdzie czas i wicher jesienny, pustoszący i ciepły wicher, powieje nad tymi szafami i wtedy puszczą one i nic nie zdoła powstrzymać ich wylewu, tych strumieni kolorowości, którymi wybuchną na miasto całe.

Przychodziła pora Wielkiego Sezonu. Ożywiały się ulice. O szóstej godzinie po południu miasto zakwitało gorączką, domy dostawały wypieków, a ludzie wędrowali ożywieni jakimś wewnętrznym ogniem, naszminkowani i ubarwieni jaskrawo, z oczyma błyszczącymi jakąś odświętną, piękną i złą febrą.

Na bocznych uliczkach, w cichych zaułkach, uchodzących już w wieczorną dzielnicę, miasto było puste. Tylko dzieci bawiły się na placykach pod balkonami, bawiły się bez tchu, hałaśliwie i niedorzecznie. Przykładały małe pęcherzyki do ust, ażeby wydmuchać je i naindyczyć się nagle jaskrawo w wielkie, gulgocące, rozpluskane narośle albo wykogucić się w głupią kogucią maskę, czerwoną i piejącą, w kolorowe jesienne maszkary fantastyczne i absurdalne. Zdawało się, że tak nadęte i piejące wzniosą się w powietrze długimi kolorowymi łańcuchami i jak jesienne klucze ptaków przeciągać będą nad miastem – fantastyczne flotylle z bibułki i pogody jesiennej. Albo woziły się wśród krzyków na małych zgiełkliwych wózkach, grających kolorowym turkotem kółek, szprych i dyszli. Wózki zjeżdżały naładowane ich krzykiem i staczały się w dół ulicy aż do nisko rozlanej, żółtej rzeczki wieczornej, gdzie rozpadały się na gruz krążków, kołków i patyczków.

I podczas gdy zabawy dzieci stawały się coraz bardziej hałaśliwe i splątane, wypieki miasta ciemniały i zakwitały purpurą, nagle świat cały zaczynał więdnąć i czernieć i szybko wydzielał się zeń majaczliwy zmierzch, którym zarażały się wszystkie rzeczy. Zdradliwie i jadowicie szerzyła się ta zaraza zmierzchu wokoło, szła od rzeczy do rzeczy, a czego dotknęła, to wnet butwiało, czerniało, rozpadało się w próchno. Ludzie uciekali przed zmierzchem w cichym popłochu i naraz dosięgał ich ten trąd, i wysypywał się ciemną wysypką na czole, i tracili twarze, które odpadały wielkimi, bezkształtnymi plamami, i szli dalej, już bez rysów, bez oczu, gubiąc po drodze maskę po masce, tak że zmierzch roił się od tych larw porzuconych, sypiących się za ich ucieczką. Potem zaczynało wszystko zarastać czarną, próchniejącą korą, łuszczącą się wielkimi płatami, chorymi strupami ciemności. A gdy w dole wszystko rozprzęgło się i szło wniwecz w tej cichej zamieszce, w panice prędkiego rozkładu, w górze utrzymywał się i rósł coraz wyżej milczący alarm zorzy, drgający świergotem miliona cichych dzwonków, wzbierających wzlotem miliona cichych skowronków lecących razem w jedną wielką, srebrną nieskończoność. Potem była już nagle noc – wielka noc, rosnąca jeszcze podmuchami wiatru, które ją rozszerzały. W jej wielokrotnym labiryncie wyłupane były gniazda jasne: sklepy – wielkie, kolorowe latarnie, pełne spiętrzonego towaru i zgiełku kupujących. Przez jasne szyby tych latani można było śledzić zgiełkliwy i pełen dziwacznego ceremoniału obrzęd zakupów jesiennych.

Ta wielka, fałdzista noc jesienna, rosnąca cieniami, roszerzona wiatrami, kryła w swych ciemnych fałdach jasne kieszenie, woreczki z kolorowym drobiazgiem, z pstrym towarem czekoladek, keksów, kolonialnej pstrokacizny. Te budki i kramiki, sklecone z pudełek po cukrach, wytapetowane jaskrawo reklamami czekolad,

pełne mydełek, wesołej tandety, złoconych błahostek, cynfolii, trąbek, andrutów i kolorowych miętówek, były stacjami lekkomyślności, grzechotkami beztroski, rozsianymi na wiszarach ogromnej, labiryntowej, rozłopotanej wiatrami nocy.

Wielkie i ciemne tłumy płynęły w ciemności, w hałaśliwym zmieszaniu, w szurgocie tysięcy nóg, w gwarze tysięcy ust – rojna, splątana wędrówka, ciągnąca arteriami jesiennego miasta. Tak płynęła ta rzeka, pełna gwaru, ciemnych spojrzeń, chytrych łypnięć, pokawałkowana rozmową, posiekana gawędą, wielka miazga plotek, śmiechów i zgiełku.

Zdawało się, że to ruszyły tłumami jesienne, suche makówki sypiące makiem – głowy-grzechotki, ludzie-kołatki.

Mój ojciec chodził zdenerwowany i kolorowy od wypieków, z błyszczącymi oczyma, w jasno oświetlonym sklepie, i nasłuchiwał.

Przez szyby wystawy i portalu dochodził tu z daleka szum miasta, stłumiony gwar płynącej ciżby. Nad ciszą sklepu płonęła jasno lampa naftowa, zwisająca z wielkiego sklepienia, i wypierała najmniejszy ślad cienia z wszystkich szpar i zakamarków. Pusta, wielka podłoga trzaskała w ciszy i liczyła w tym świetle wzdłuż i wszerz swe błyszczące kwadraty, szachownicę wielkich tafli, które rozmawiały ze sobą w ciszy trzaskami, odpowiadały sobie to tu, to tam głośnym pęknięciem. Za to sukna leżały ciche, bez głosu, w swej pilśniowej puszystości i podawały sobie wzdłuż ścian spojrzenia za plecami ojca, wymieniały od szafy do szafy ciche znaki porozumiewawcze.

Ojciec nasłuchiwał. Jego ucho zdawało się w tej ciszy nocnej wydłużać i rozgałęziać poza okno: fantastyczny koralowiec, czerwony polip falujący w mętach nocy.

Nasłuchiwał i słyszał. Słyszał z rosnącym niepokojem daleki przypływ tłumów, które nadciągały. Rozglądał się z przerażeniem

po pustym sklepie. Szukał subiektów. Ale ci ciemni i rudzi aniołowie dokądś odlecieli. Pozostał on sam tylko, w trwodze przed tłumami, które wnet miały zalać ciszę sklepu plądrującą hałaśliwą rzeszą i rozebrać między siebie, rozlicytować całą tę bogatą jesień, od lat zbieraną w wielkim zacisznym spichlerzu.

Gdzie byli subiekci? Gdzie były te urodziwe cheruby, mające bronić ciemnych, sukiennych szańców? Ojciec podejrzewał bolesną myślą, że oto grzeszą gdzieś w głębi domu z córami ludzi. Stojąc nieruchomy i pełen troski, z błyszczącymi oczyma w jasnej ciszy sklepu, czuł wewnętrznym słuchem, co działo się w głębi domu, w tylnych komorach wielkiej kolorowej tej latarni. Dom otwierał się przed nim, izba za izbą, komora za komorą, jak dom z kart, i widział gonitwę subiektów za Adelą przez wszystkie puste i jasno oświetlone pokoje, schodami na dół, schodami do góry, aż wymknęła się im i wpadła do jasnej kuchni, gdzie zabarykadowała się kuchennym kredensem.

Tam stała zdyszana, błyszcząca i rozbawiona, trzepocąca z uśmiechem wielkimi rzęsami. Subiekci chichotali, przykucnięci pode drzwiami. Okno kuchni otwarte było na wielką, czarną noc, pełną rojeń i splątania. Czarne, uchylone szyby płonęły refleksem dalekiej iluminacji. Błyszczące garnki i butle stały nieruchomo dokoła i lśniły w ciszy tłustą polewą. Adela wychylała ostrożnie przez okno swą kolorową, uszminkowaną twarz z trzepoczącymi oczyma. Szukała subiektów na ciemnym podwórzu, pewna ich zasadzki. I oto ujrzała ich, jak wędrowali ostrożnie, gęsiego, po wąskim gzymsie podokiennym wzdłuż ściany piętra, czerwonej odblaskiem dalekiej iluminacji, i skradali się do okna. Ojciec krzyknął z gniewu i rozpaczy, ale w tej chwili gwar głosów stał się całkiem bliski i nagle jasne okna sklepu zaludniły się bliskimi twarzami, wykrzywionymi śmiechem, rozgadanymi twarzami, które

płaszczyły nosy na lśniących szybach. Ojciec stał się purpurowy ze wzburzenia i wskoczył na ladę. I kiedy tłum szturmem zdobywał tę twierdzę i wkraczał hałaśliwą ciżbą do sklepu, ojciec mój jednym skokiem wspiął się na półki z suknem i, uwisły wysoko nad tłumem, dął z całej siły w wielki puzon z rogu i trąbił na alarm. Ale sklepienie nie napełniło się szumem aniołów, śpieszących na pomoc, a zamiast tego każdemu jękowi trąby odpowiadał wielki, roześmiany chór tłumu.

– Jakubie, handlować! Jakubie, sprzedawać! – wołali wszyscy, a wołanie to, wciąż powtarzane, rytmizowało się w chórze i przechodziło powoli w melodię refrenu, śpiewaną przez wszystkie gardła. Wtedy mój ojciec dał za wygraną, zeskoczył z wysokiego gzymsu i ruszył z krzykiem ku barykadom sukna. Wyolbrzymiony gniewem, z głową spęczniałą w pięść purpurową, wbiegł, jak walczący prorok, na szańce sukienne i jął przeciwko nim szaleć. Wpierał się całym ciałem w potężne bale wełny i wyważał je z osady, podsuwał się pod ogromne postawy sukna i unosił je na ladę z głuchym łomotem. Bale leciały rozwijając się z łopotem w powietrzu w ogromne chorągwie, półki wybuchały zewsząd wybuchami draperii, wodospadami sukna, jak pod uderzeniem Mojżeszowej laski.

Tak wylewały się zapasy szaf, wymiotowały gwałtownie, płynęły szerokimi rzekami. Wypływała barwna treść półek, rosła, mnożyła się i zalewała wszystkie lady i stoły.

Ściany sklepu znikły pod potężnymi formacjami tej sukiennej kosmogonii, pod tymi pasmami górskimi, piętrzącymi się w potężnych masywach. Otwierały się szerokie doliny wśród zboczy górskich i wśród szerokiego patosu wyżyn grzmiały linie kontynentów. Przestrzeń sklepu rozszerzyła się w panoramę jesiennego krajobrazu, pełną jezior i dali, a na tle tej scenerii ojciec

wędrował wśród fałd i dolin fantastycznego Kanaanu, wędrował wielkimi krokami, z rękoma rozkrzyżowanymi proroczo w chmurach, i kształtował kraj uderzeniami natchnienia.

A u dołu, u stóp tego Synaju, wyrosłego z gniewu ojca, gestykulował lud, złorzeczył i czcił Baala, i handlował. Nabierali pełne ręce miękkich fałd, drapowali się w kolorowe sukna, owijali się w zaimprowizowane domina i płaszcze i gadali bezładnie a obficie.

Mój ojciec wyrastał nagle nad tymi grupami kupczących wydłużonych gniewem, i gromił z wysoka bałwochwalców potężnym słowem. Potem, ponoszony rozpaczą, wspinał się na wysokie galerie szaf, biegł obłędnie po bantach półek, po dudniących deskach ogołoconych rusztowań, ścigany przez obrazy bezwstydnej rozpusty, którą przeczuwał za plecami w głębi domu. Subiekci dosięgli właśnie żelaznego balkonu na wysokości okna i wczepieni w balustradę, pochwycili wpół Adelę i wyciągnęli ją przez okno, trzepocącą oczyma i wlokącą za sobą smukłe nogi w jedwabnych pończochach.

Gdy ojciec mój, przerażony ohydą grzechu, wrastał gniewem swych gestów w grozę krajobrazu, w dole beztroski lud Baala oddawał się wyuzdanej wesołości. Jakaś parodystyczna pasja, jakaś zaraza śmiechu opanowała tę gawiedź. Jakże można było żądać powagi od nich, od tego ludu kołatek i dziadków do orzechów! Jak można było żądać zrozumienia dla wielkich trosk ojca od tych młynków, mielących bezustannie kolorową miazgę słów! Głusi na gromy proroczego gniewu, przykucali ci handlarze w jedwabnych bekieszach małymi kupkami dookoła sfałdowanych gór materii, rozstrząsając gadatliwie wśród śmiechu zalety towaru. Ta czarna giełda roznosiła na swych prędkich językach szlachetną

substancję krajobrazu, rozdrabniała ją siekaniną gadania i połykała niemal.

Gdzie indziej stały grupy Żydów w kolorowych chałatach, w wielkich futrzanych kołpakach przed wysokimi wodospadami jasnych materii. Byli to mężowie Wielkiego Zgromadzenia, dostojni i pełni namaszczenia panowie, gładzący długie, pielęgnowane brody i prowadzący wstrzemięźliwe i dyplomatyczne rozmowy. Ale i w tej ceremonialnej konwersacji, w spojrzeniach, które wymieniali był błysk uśmiechniętej ironii. Wśród tych grup przewijał się pospolity lud, bezpostaciowy tłum, gawiedź bez twarzy i indywidualności. Wypełniał on niejako luki w krajobrazie, wyścielał tło dzwonkami i grzechotkami bezmyślnego gadania. Był to element błazeński, roztańczony tłum poliszynelów i arlekinów, który – sam bez poważnych intencyj handlowych – doprowadzał do absurdu gdzieniegdzie nawiązujące się tansakcje swymi błazeńskimi figlami.

Stopniowo jednak, znudzony błaznowaniem, wesoły ten ludek rozpraszał się w dalszych okolicach krajobrazu i tam powoli gubił się wśród skalnych załomów i dolin. Prawdopodobnie jeden po drugim zapadały się te wesołki gdzieś w szczeliny i fałdy terenu, jak dzieci zmęczone zabawą po kątach i zakamarkach mieszkania w noc balową.

Tymczasem ojcowie miasta, mężowie Wielkiego Synhedrionu, przechadzali się w grupach pełnych powagi i godności i prowadzili ciche, głębokie dysputy. Rozszedłszy się po całym, owym wielkim górzystym kraju, wędrowali po dwóch, po trzech na dalekich i krętych drogach. Małe i ciemne ich sylwety zaludniały całą tę pustynną wyżynę, nad którą zwisło ciężkie i ciemne niebo, sfałdowane i chmurne, poorane w długie równoległe bruzdy,

w srebrne i białe skiby, ukazujące w głębi coraz dalsze pokłady swego uwarstwienia.

Światło lampy stwarzało sztuczny dzień w owej krainie – dzień dziwny, dzień bez świtu i wieczoru.

Ojciec mój uspokajał się powoli. Gniew jego układał się i zastygał w pokładach i warstwach krajobrazu. Siedział teraz na galeriach wysokich półek i patrzył w jesieniejący, rozległy kraj. Widział, jak na dalekich jeziorach odbywał się połów ryb. W maleńkich łupinkach łódek siedziało po dwóch rybaków, zapuszczając sieci w wodę. Na brzegach chłopcy dźwigali na głowach kosze, pełne trzepocącego się, srebrnego połowu.

Wówczas to dostrzegł, jak grupy wędrowców w oddali zadzierały głowy ku niebu, wskazując coś wzniesionymi rękami.

I wnet zaroiło się niebo jakąś kolorową wysypką, osypało się falującymi plamami, które rosły, dojrzewały i wnet napełniły przestworze dziwnym ludem ptaków, krążących i kołujących w wielkich, krzyżujących się spiralach. Całe niebo wypełniło się ich wzniosłym lotem, łopotem skrzydeł, majestatycznymi liniami cichych bujań. Niektóre z nich jak ogromne bociany płynęły nieruchomo na spokojnie rozpostartych skrzydłach, inne, podobne do kolorowych pióropuszów, do barbarzyńskich trofeów, trzepotały ciężko i niezgrabnie, ażeby utrzymać się na falach ciepłej aury; inne wreszcie, nieudolne konglomeraty skrzydeł, potężnych nóg i oskubanych szyj, przypominały źle wypchane sępy i kondory, z których wysypują się trociny.

Były między nimi ptaki dwugłowe, ptaki wieloskrzydłe, były też i kaleki, kulejące w powietrzu jednoskrzydłym, niedołężnym lotem. Niebo stało się podobne do starego fresku, pełnego dziwolągów i fantastycznych zwierząt, które krążyły, wymijały się i znów wracały w kolorowych elipsach.

Mój ojciec podniósł się na bantach, oblany nagłym blaskiem, wyciągnął ręce, przyzywając ptaki starym zaklęciem. Poznał je, pełen wzruszenia. Było to dalekie, zapomniane potomstwo tej ptasiej generacji, którą ongi Adela rozpędziła na wszystkie strony nieba. Wracało teraz, zwyrodniałe i wybujałe, to sztuczne potomstwo, to zdegenerowane plemię ptasie, zmarniałe wewnętrznie.

Wystrzelone głupio wzrostem, wyogromnione niedorzecznie, było wewnątrz puste i bez życia. Cała żywotność tych ptaków przeszła w upierzenie, wybujała w fantastyczność. Było to jakby muzeum wycofanych rodzajów, rupieciarnia Raju ptasiego.

Niektóre latały na wznak, miały ciężkie, niezgrabne dzioby, podobne do kłódek i zamków, obciążone kolorowymi naroślami, i były ślepe. Jakże wzruszył ojca ten powrót niespodziany, jakże zdumiewał się nad instynktem ptasim, nad tym przywiązaniem do Mistrza, które wygnany ów ród piastował jak legendę w duszy, ażeby wreszcie po wielu generacjach, w ostatnim dniu przed wygaśnięciem plemienia pociągnąć z powrotem w pradawną ojczyznę.

Ale te papierowe, ślepe ptaki nie mogły już poznać ojca. Na darmo wołał na nie dawnym zaklęciem, zapomnianą mową ptasią, nie słyszały go i nie widziały.

Nagle zagwizdały kamienie w powietrzu. To wesołki, głupie i bezmyślne plemię, jęły celować pociskami w fantastyczne niebo ptasie.

Na darmo ojciec ostrzegał, na darmo groził zaklinającymi gestami, nie dosłyszano go, nie dostrzeżono. I ptaki spadały. Ugodzone pociskiem, obwisały ciężko i więdły już w powietrzu. Nim doleciały do ziemi, były już bezforemną kupą pierza.

W mgnieniu oka pokryła się wyżyna tą dziwną, fantastyczną padliną.

Zanim ojciec dobiegł do miejsca rzezi, cały ten świetny ród ptasi już leżał martwy, rozciągnięty na skałach.

Teraz dopiero, z bliska, mógł ojciec obserwować całą lichotę tej zubożałej generacji, całą śmieszność jej tandetnej anatomii.

Były to ogromne wiechcie piór, wypchane byle jak starym ścierwem. U wielu nie można było wyróżnić głowy, gdyż pałkowata ta część ciała nie nosiła żadnych znamion duszy. Niektóre pokryte były kudłatą, zlepioną sierścią, jak żubry, i śmierdziały wstrętnie. Inne przypominały garbate, łyse, zdechłe wielbłądy. Inne wreszcie były najwidoczniej z pewnego rodzaju papieru, puste w środku, a świetnie kolorowe na zewnątrz. Niektóre okazywały się z bliska niczym innym jak wielkimi pawimi ogonami, kolorowymi wachlarzami, w które niepojętym sposobem tchnięto jakiś pozór życia.

Widziałem smutny powrót mego ojca. Sztuczny dzień zabarwiał się już powoli kolorami zwyczajnego poranka. W spustoszałym sklepie najwyższe półki syciły się barwami rannego nieba. Wśród fragmentów zgasłego pejzażu, wśród zburzonych kulis nocnej scenerii – ojciec widział wstających ze snu subiektów. Podnosili się spomiędzy bali sukna i ziewali do słońca. W kuchni, na piętrze, Adela, ciepła od snu i ze zmierzwionymi włosami, mełła kawę na młynku, przyciskając go do białej piersi, od której ziarna nabierały blasku i gorąca. Kot mył się w słońcu.

ISBN 978-83-268-0809-8

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment obrazu „La muse verte” Alberta Maignana (1845–1908).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji